

Piotr Sobolczyk

100% ARABICA chiNOISery

edycja kolekcjonerska



INTER-

Piotr Sobolczyk

**100% ARABICA /
chiNOISery**

edycja kolekcjonerska

Toruń 2015

Piotr Sobolczyk

**100% ARABICA /
chiNOISery**

edycja kolekcjonerska



© by BIBLIOTEKA „INTER-”. Seria poetycka, t. 3
© by Piotr Sobolczyk, 2015

ISBN 978-83-940476-5-8

Redaktor tomu

Tomasz Dalasiński

Korekta: Aleksandra Szwagrzyk

Skład i okładka: Tomasz Dalasiński

Zdjęcia na okładce i wewnątrz: archiwum prywatne Autora

Wydawca:

„Inter-. Literatura-Krytyka-Kultura”

Zakład Antropologii Literatury i Edukacji Polonistycznej

Instytut Literatury Polskiej

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

ul. Fosa Staromiejska 3

87-100 Toruń



www.PismoInter.wordpress.com

Niniejsza publikacja udostępniana jest na zasadach Open Access. Treści w niej zawarte mogą być swobodnie czytane, kopiowane, przechowywane, drukowane i wykorzystywane do celów naukowych oraz dydaktycznych zgodnie z prawem pod warunkiem nienaruszania intelektualnych i materialnych praw autorskich ich twórców i redaktorów.

100% ARABICA

KAHWA

1 kg 100% arabica

200 g kardamon

muła męła

uzbierze się miarka

na markę

jordania + syria = -izrael

jordania ↔ izrael

syria [!?!#@%!;_?@!!] izrael

salaam szalom

AJ 0055182 s. 8

tourist collective visa:

*when he wants to stay more than 15 days he
must refer to the branch of imigration*

(data upływu ważności / date of expiry
12 sie / aug 2013)

KAD®ATU®A

fota morgana

ujęcie

wod olei

trystyka

każdemu to samo według tego samego

rozdzielczośnika

skler skler sklej

MARCIN:
jak ślisko w łazience
może zaśpiewam
widziałam orła cień

5 minut później
PRYSZNIC:

0	0	0	0
0	0	0	0
0	0	0	0
0	0	0	0
0	0	0	0

BUM!

?!

...widziałam ooorłaaa cieeń...

pilot i żona (młodzi) się domyślili
rafał się domyślił bo z początku
trzymał z nami bardziej (przy
zwoitka) profesorostwo s-cy wiedzą
bo recenzował mój artykuł w kwestii
mama syna o imieniu po pisarzu procesowanym
domyśliła się i uśmiechnęła miło
podłyszawszy naszą rozmowę o plutonie egzekucyjnym
trzech dziś-pełnoletnich się domyśla bo
w ich słowniku jest a w starszych
nie do końca i gdy już myśleliśmy że jest myślenie
rozważono nasze kandydatury w wyborach
na pana młodego choć młode
panie nie zwiedzają lecz może uwięzione
w donżonach polski czekają
na suweniry
znad morza martwego

(marcin)
rano przed śniadaniem
enterol
po śniadaniu
lacto seven
do obiadu czerwone wino
pod wieczór szaj z miętą
nazajutrz po śniadaniu
2 * stoperan
nazajutrz po śniadaniu
1 stoperan

i czy to był arbuz?

1 JD = 3 zł = 1,5 \$

50 S£ = 2,5 zł

1\$ = 2,07 zł

1\$ = 45 S£

(kantor w syrii?

- budda w kurii!)

karabic border

(tabliczka mnożenia
z ubytkami)

COMMON WEALTH

syryjski pilot hissam*
absolwent anglistyki
wiek męski
codziennie BBC
(grupa szemrze że ubek
na politykę poprawnie milknie)

syria is great syria
(isn't it?)

ketman?
(archetyp?)

chłopak w recepcji w aleppo
2 r. anglistyki
studiuję żeby wyjechać
choćby do rosj
studiowali u nas druzja
podobno -30 nie można
smsa wystukać

wytrzymam

* a hissam się nie domyślił tylko gratulował
mi nieożenku wreszcie na granicy
skapował

Al 19,08

Fe 24,30

Mn 2,609

NH3 0,013

Ph 7,75

www.bahcepinar.com.tr

(made in turkey)

(centrum aleppo syria przed cytadelą
wycieczka szmerzy że kranówa)

ca? mg? k? HCO3?

*sir
please sir
i from iraq
i immigrant i refugee
one dolar
i clean your shoes please
sir here give me no work i
have to pay school one dolar
sir sir big money i give you change
please please please*

oczi cziornyje
2 * 100\$
2 * 1000 S£

misery cordia

teraz jest wojna musisz
wybrać *nie wiem*

bolanda biedna?
nie
bolanda agresora

(w chrześcijańskiej dzielnicy damaszku)

koń na plaży (publicznej) w akacie
ujrzawszy europejkę w fiuletach
dęba stanął

sobol nie będzie skórkowiec
(raczy skórczybyk)
nawet po 50C pleży
wstyd czerwony
z białego peelingu ręcznika

nabuchodonozor was here
sardanapal was here

marcinowi się tyle chce
mnie tyle nie

sobolozor was here?
marcinapal was here?

(z wiersza 19-latka:
byłem pyłem
będę pędem)

petra petrade
medina china

arafatka
 madeinchina
pluszowe wielbłądy
 madeinchina
semicka jewellery
 madeinchina

moja szapoba petra jordan
też madeinchina
(zachodnia z galerii kraków
zgubiona w autokarze w ammanie)

olimpiada tybet smog
ruiny różowego miasta

szina is nejm of maj family
kompany hir in mantyns

phi hi hi młody piotrek 15 l.
poklepał go po dżallabiji w łeb
(wszyscy się oburzyliśmy!)

tyle zarobił daleki wschód za bliski

araby nie rozumiały
słowa egzотический
jakeśmy próbowały nauczyć ich
czegoś o sobie

zostaliśmy друзjami
(studiują w rosj)
łoręsami z rabii

w czasowe odpuszczenie
odposzczenie wszystkiego
wszystkjemu

niedbaluminarz

nagle

fiksacja

pilot winien

10\$ właściwie 13\$

(ale odliczmy bakszysz)

1 dzień 2 dni 3 nie oddaje

dulary dulary dulary

jak go widzę

\$wieczki w oczach

(lecz gentlemani o kasie

nie gadają)

nawet zatroskałem się o jego zdrowie

wśród wycieczek szukałem ruskiej

(madonna w *the power of goodbye:*

freedom comes when you learn to let go

creation comes when you learn to say no)

ale ja mam wysokie owczasy

pustyni
się puszcza

o a
z
j
a

t
u
es petrus

ROZMOWA O PLUTONIE EGZEKUCYJNYM (BONUS TRACK)

zamek Krak des Chevaliers
wysokie nieogrodzone mury
kompleks lęku wyższości

MARCIN:

dlaczego nie zaczekałeś?

JA:

mówiłem nie podchodź tak blisko
zgubiliśmy grupę
trzy razy wydawałem ci rozkaz
idź szybciej
i nie posłuchałeś
powinieneś stanąć
przed plutonem egzekucyjnym

MARCIN:

a dziś wieczorem?...

JA:

nie

bo każdy skazaniec musi przeżyć
w oczekiwaniu na egzekucję
potworną noc

zdjęcia wywołane duchy
geniuszy straszą
za rubieżnie

najwięcej klina za
(daje) butelka po kokosowym soku
z czerwonym piaskiem z wadi rum

*baczcie oto: z dawnych dziejów płyną
wskazania dla dnia dzisiejszego przeto człowiek
winien poznać ku własnej przestrodze przypadku
innych rozważyć je zgłębić historię ludów minionych
i to co im w udziale przypadło chwata temu co
sprawił że podania dawnych ludów pouczają
żyjących!*

*baczcie oto: z dawnych dziejów płyną wskazania dla
dnia dzisiejszego przeto człowiek winien poznać ku
własnej przestrodze przypadku innych rozważyć je zgłębić
historię ludów minionych i to co im w udziale przypadło
chwata temu co sprawił że podania dawnych ludów pouczają
żyjących!*

*baczcie oto: z dawnych dziejów płyną wskazania dla dnia
dzisiejszego przeto człowiek winien poznać ku własnej
przestrodze przypadku innych rozważyć je zgłębić historię
ludów minionych i to co im w udziale przypadło chwata temu
co sprawił że podania dawnych ludów pouczają żyjących!*

*baczcie oto: z dawnych dziejów płyną wskazania dla dnia dzisiejszego przeto człowiek
winien poznać ku własnej przestrodze przypadku innych rozważyć je zgłębić historię ludów
minionych i to co im w udziale przypadło chwata temu co sprawił że podania dawnych ludów
pouczają żyjących!*

KITAB ALF LAJLA WA-LAJLA
BASMALA

/2008/

chiNOISery

przed wyjazdem do chin
postanowiłem że zostanę
dalajlamą.

teleempatycznie obudzę w sobie
energię która podczas międzylądowania
w stambule
zmieni się z prany w chi
dalajlamy.

dalajlama we mnie wjedzie do chin.
i zrobi co potrzeba.

(kiedy będę chciał kupić herbatę
elektronikę
i koszulki
powiem chi dalajlamy że idę na chwilę
gdzie dalajlama piechotą).

dalajlama nie raz zapewne podróżował już do
chin
kosmentalnie

beze mnie,
ale ja nie podróżowałem do chin ani z dalajlamą
ani bez niego
ani mentalnie.

ile to się można nauczyć podróżując
(międzypodróżując)

kiedy wybrali mnie syreną morza / g(wa)rantomowanym elfem queeru
...

częstowali mnie szampanem / bezcłowa małpka metaxy
...

buenos aires / beijing
...

podaruję panu zdjęcie z autografem / wydruk wiersza zdjętego z autografu
...

naturalnie myślę o mężczyznach / ale nie latam wzrokiem
...

chcę jeszcze raz pojechać do europy
lub jeszcze międzysdalej



[- ¼ doby - stambuł - międzyladowanie - ja]

obywatel wjeżdżający do chin
w czerwonej koszulce z napisem
„propaganda”
da do prześwietlenia swoją czerwoną walizkę
(w niej czerwone conversy reakcji)

wakacyjny placek na plaży
co za pomysł
chodzić dziesięcioma nogami!

potem autokarowa modlitwa:
jedź dłużej
nie stawaj
bo trzeba będzie wstać

wyjść
łazić
filmować
fotografować
chłonąć
zachwycać się
(nosić twarz
szukać kibli
pilnować smartfona w kieszeni
nie dawać naciągnąć)

niekiedy przysypisko
za sprawą quasi jet – legu

moje dziesięć nóg chce się zmienić
w dziesięć kół
a potem dziesięć kół zmienia się
w dziesięć fortun
którym żal że tyle czasu liżą przez szybę

pekin 16 000 000 ciałoprzestrzeni
dziesięć nogoleci

jedź dalej
do punktu dojścia

zgubiwszy się
w zakazanym mieście
zostałem rasistą
wołałem w duchu:
białe twarze!
białe twarze!
moja biała flaga
biura tęczowego!
dzień wcześniej jedna z nas
jedna z biura białej flagi
powiedziała:
oni nas zaleją
nie mamy dyscypliny

karnie czekałem przy wyjściu
powitałem swoje białe twarze
niezalany
krwią
bez bladej
mordy
bez zmrużonych
zaślepi

namysł II (w xi'an): padł dysk
bo ładowarka ładuje
należy kupić kartę SD
wymykam się z hotelu
kupuję
nie działa
(filmuję mur w xi'an
aparatem
mur drży
dźwięk tłumi)

rozwiązanie: nagle
przycisk który na intuicję
miał uruchomić kartę SD
przywraca twardy dysk

kamera życia działa!
wielki mur zdobyty ponownie!
sekret miasta znów naszeptany!
cesarze w grobowcach znów nie żyją!

czy odpowiedź na pytanie
jaki znak chciał mi świat dać
da radę sfilmować?

puerh pachnie kiblem
albo błotem
twierdzi mama

w kraju herbaty
nie ma w każdej knajpie
puerha białej zielonej lepszej
nie ma w spożywcach
znaleziska

parzę w hotelu puerh w kulce
przywieziony z polski a do polski z chin
listki zatykają klozet

taka kultura herbaty w kraju

lepsze herbaty kosztują więcej
niż w polsce
wszystko kosztuje podobnie
upada mit kraju herbaty
upada mit taniego kraju
nie widać szwalni
nie widać obozów pracy

nie widać w powietrzu piasku z pustyni gobi
w oczy nie kole acz w gardło drapie

terakotowa armia nie wzrusza
ramionami

(jak ponoszę dłużej ten plecak podręczny
też przestanę)
maitreja nie wzrusza
ramionami
nawet na widok fana
ni awatara

przyjechałem do chin odnaleźć sekretne zakłęcie
doktora paj-chi-wo
w klasztorze shaolin
w tym celu złapałem parę dni przed odlotem
przeziębienie

[a potem łapałem:

klimy na lotniskach
klimy w samolotach
klimy w autobusach
syfy w pociągach
smogi w pekinach
piaski gobi w powietrzach

a gdy już udało się zasnąć
czwarta godzina wykrztuśna]

i cing:

początkowe trudności
przynoszą największy sukces

w połowie wycieczki reclin odzyskuje głos
pół wycieczki odszczekuje

angielskie przemowy bankomatu w zhengzhou
do polskiej karty:

21.00 jest za późno by zrealizować transakcję
8.00 jest za wcześnie by zrealizować transakcję

moja racjonalna przemowa do swojego cienia:
jest za wcześnie by realizować transakcje
mając żółte zaskórniaki

(prognoza cienia:
8.00 mam zasoby
21.00 mam zasady)

oni są przyzwyczajeni do tłoku
dziesięć razy przecisną się między wami i wokół was
zapomnijcie o europejskiej delikatności i uprzejmości
radził pilot

spróbujmy
np. na starym mieście w szanghaju
gdzie most do najsłynniejszej herbaciarni
tonie w ludowcu

od razu widać kto tu jeździł pkp
kto niemal zawsze miał miejsce w pkp
bo niemal zawsze jako pierwszy-trzeci wsiadał do pkp
(i kto przez pkp stracił kolor w dziesięciu włosach)

gdy do tej herbaciarni szedł bill clinton
drogę torowała mu siła imperializmu
gdy do tej herbaciarni szedł władimir putin
drogę torowały mu jw. i czarny pas
gdy do tej herbaciarni szła indira ghandi
drogę torowała jej siła duchowa ahimsy

ja musiałem uciec się do pkp i dotarłem expresse

wielki mur o którym można coś powiedzieć
nie jest prawdziwym wielkim murem
zakazane miasto o którym można coś powiedzieć
nie jest prawdziwym zakazanym miastem
pagoda dzikiej gęsi o której można coś powiedzieć
nie jest prawdziwą pagodą dzikiej gęsi
groty smoczej bramy o których można coś powiedzieć
nie są prawdziwymi grotami smoczej bramy
klasztor shaolin o którym można coś powiedzieć
nie jest prawdziwym klasztorem shaolin
[t w n k k m s z g h]* o których można coś powiedzieć
nie są prawdziwymi [t w n k k m s z g h]
piotr o którym można coś powiedzieć
jest piotrem turystycznym

* [t w n k k m s z g h] – te wszystkie nazwy które kojarzą mi się z gatunkami herbat

jak po tylu dniach mieszkania w hotelach
z emanującą chaosem walizką
moje poczucie feng shui domu mogło zostać tak wyostrzone?

świątynne kadzidło w domu pro fana:
minęła pełnia w qui fen*
nadchodzi han lu**
bije godzina psa
trafiona w siódmkę [pustka]
(objawy drugiego dnia)
{szczęśliwą liczbą u chińczyków 8}
odręczny obraz [jesień w kolorze żółtym]***
nierozpakowany

* jesienna równonoc: 19 IX 2013

** zimna rosa

*** wybór pory roku i koloru motywowany chęcią odczarowania
nielubianego sektora kalendarza

podróbki tych wierszy na rynek europejski
można zamówić na papierze ryżowym

aby uzyskać chińską torturę w warunkach domowych
sącz te wiersze po kropelce z kranu
jakbyś czekał na herbatę

*Czarka herbaty zwilża moje wargi i gardło,
dwie czarki przelatują samotność.
Po trzech czarkach pięćset słów mistrzowskich
zwojów to jedyne co pozostaje w moim umyśle.
Czwarta czarka sprawia że delikatne poty
usuwiają wszelkie klęski i niesprawiedliwości
życia.
Po szóstej czuję się nieśmiertelny.*

LU TONG
PODZIĘKOWANIA DLA DORADCY CESARSKIEGO
MENGA
ZA PRZYSŁANIE MI ŚWIEŻO ZEBRANEJ HERBATY

/2013/

TURYZMATYK

Przebłysk idei, która miała mi się później zsyntetyzować za sprawą innej osoby, przytrafił mi się po pół roku mieszkania w Barcelonie. Jak każdy lokals unikałem o ile to możliwe Rambli – tak jak obecnie unikam w Krakowie Floriańskiej, o ile nie potrzebuję wymienić waluty lub dokupić herbaty – ulicy turystów zaczepianych co krok przed sprzedawców, podobno także okradanych (przez nie wiadomo kogo, na tym bowiem rzecz polega); sprzedawca taki, nagabywacz ów jeden z drugim psim jakby węchem (mówimy, że psim, bo najpierw sobie wmówiliśmy, że człowiek z zasady, poza ezoterycznymi wypadkami odstrychniętych, władzy takiej nie posiada), okiem czwartym lub trzy-czwartym (być może nie zawsze jest ono w użyciu dla rozświetlania drogi... via karma, niekiedy więc via Rambla, via suk, via Toledo, via Dżamaa al-Fina...), odsiewa ziarno od plew, przy czym my, lokalsi, szcycimy się w tym wypadku byciem plewą. Zorientowałem się, że nie jestem traktowany jak turysta w mieście, w którym wciąż byłem gościem.

Wrażenie to wróciło do mnie, kiedy poznałem... Chyba muszę pisać o nim X, ponieważ ani nie wiem, czy podana przez niego narodowość była paszportowa, ani też nie chciałbym go w niniejszym przytoczeniu wpisać w jakiegokolwiek stereotypy narodowe, byłoby to najdalsze od jego sposobu przeżywania i funkcjonowania, to, że był mężczyzną (powiecie: nie żyje już? nie wiem; ale nie tylko śmierć przynosi zmiany genderu), również nie miało znaczenia. X miał ten problem doskonale i dogłębnie przemyślany. Gdybym nie zapamiętał tego swojego wrażenia, być może słuchając jego historii – a miejscem był bar z wszelkimi tego konsekwencjami – odbiłbym się od niej, w najlepszym razie uznał za ciekawostkę, w gorszym – za wariactwo. Wszak w każdym mieście jest jakiś lokalny bar z lokalnym świrem, co odnotowują bedekery – z wyjątkiem tych pretensjonalnych.

Kiedy mieszkasz w mieście niebędącym sezonową atrakcją turystyczną, tylko dupą cwela po zbiorowym gwałcie w więzieniu, nierzadko westchniesz „o bosh, turyści” i patrzysz na nich z bardzo mieszanymi uczuciami, albowiem burmistrz

twój czy mer kładzie ci do głowy jak kluski, że tysiące miejsc pracy by ubyło, gdyby nie oni, stadion by nie powstał, gdyby nie fale, a lotnisko nie zostałyby rozbudowane, gdyby kantory nie miały obrotów. Rozumiesz, że to system i dla eko musisz być z turystami. W dodatku jeśli potrafisz rzucać krytyczne spojrzenia z drugiej strony, nie możesz nie pomyśleć, że i ty nie bywasz turystą w jakimś innym Neapolu czy Paryżu, uczestniczysz więc w wymianie symbolicznej kukulczego jaja (przenoszonego przez bociany). Czy X pochodzi z miejsca turystycznie atrakcyjnego – nie wiem, brak mi kompetencji psychologicznych, by stwierdzić, że jego problem (o ile to problem a nie po prostu alternatywny i przyszły *modus vivendi*) musiał mieć u źródła wioseczkę, gdzie diabeł mówi dobranoc, dzień dobry, a także niech będzie pochwalony i z bogiem (tudzież proszę, dziękuję, przepraszam, rozłóż nogi, nie ma za co). Zresztą dam głowę do cyrografu, że dla wielu ludzi diabeł nawiedza raczej właśnie miejsca turystyczne, turystą jest – nie osobowo, lecz jako figura wyabstrahowana.

Pragnieniem X było nigdzie nie być turystą, nigdzie nie być postrzeganym jako turysta – wszakże podróżując. Chciał, mówię o fazie, nim zaczął to wcielać w życie, albowiem kiedy go poznałem, już wcielał, chyba że nie poznałem się na fantasmie, który najlepsze randki odbywa via komunikator internetowy, co zostawia mało czasu, a o ileż mniej przestrzeni, na spotkania z facetami w barach, nie czynię sobie jednak nigdy wyrzutów, że za bardzo wierzę ludziom w ich światy wewnętrzne dozowane przez lejek historyjek, kto by chciał słuchać przewodnika, co pod Massadą godzinę relacjonowałby kronikę najważniejszych dat, zresztą gdyby taki sceptycyzm mi się zbyt usilnie włączał, nie mógłbym chyba wiarygodnie pisać pokręconymi zdaniemami – jak niniejsze, co zaczęło się od tego, że X czegoś chciał i skończył je bez rozwinięcia. Owo przerzucając do kolejnego, chciał więc na przykład iść rue de Rivoli bądź siedzieć pod Bramą Syjonu, przeciskać się na Nanjing Lu, mijać Gamla Stan nie jako turysta, lecz będąc naturalizowanym oczyma lokalsów jako swój, jako jeden z nich. Wiedział, że to po części kwestia spojrzenia, które nie może być nazbyt świeże, kroku odpowiednio sprężystego, wyrazu twarzy, jakby się

miało do załatwienia sprawę w urzędzie, oczywiście inną niż zgłoszenie kradzieży lustrzanki, w której wiadomo, co można znaleźć, obiekty i widoki, z rzadka tylko przetykane fotką fiutka nad dywanem z logo sieci hoteli. (Oczywiście nie wiem, czy X był gejem, skoro bycie mężczyzną nie miało w jego wypadku znaczenia – a może właśnie dlatego, choć wy, trzeźwi realiści, powiecie, że nie wciskałby mi kitu przez godzinę w barze, gdyby nie chciał mnie zaciągnąć do hotelu z dywanem z logo). Z początku X wykluczył czynnik lingwistyczny. Można być nie-turystą, zasiedziały, a mówić z akcentem. Owszem, uczył się języka przed każdą podróżą. Ponieważ był inteligentny, wykombinował, że na wypadek napadnięcia go na ulicy pytaniem demaskującym jego turystyczność, musi odpowiedzieć kompletnie zbijając z pantafyku. Nie uczył się więc, o co mogą go pytać, tych wszystkich „mam dobry towar” albo „oprowadzę po porcie”, nie potrzebował ich rozumieć. Był przygotowany na hipotetycznie takie konwersacje: „tanie pokoje! tanie pokoje! – podmiot transcendentalny ignoruje wszystkie akcydensy w procesie redukcji epistemologicznej”, to czy inne zdanie o trzynastozgłoskowcu Mickiewicza (wygłaszane być może pod jego pomnikiem w Krakowie zupełnie bez świadomości nawiązania) miał wykute perfekt na blachę, wypowiadał je tonem znużonym, ale nie zblazowanym, czyniąc dłonią gest, by go przepuścić, musi bowiem ową ważną a i pilną sprawę trzynastozgłoskowca rozstrzygnąć w ministerstwie. Tu pozwolił sobie na dowcip, niektóre języki wszak po prostu znał, nie wiem, który od matki, nie zdradzał, będąc zagadniętym na Place de Clichy „najlepsze kasztany są na placu Pigalle”, odparł błyskawicznie „koniowi należy zmienić skład obroku”. Ja to zrozumiałem natychmiast, ale pytający pozostał w miejscu zbity z pantafyku; być może w jego abstrakcyjnych odpowiedziach w innych językach zawsze było jakieś ziarno odniesienia, czy nuta. Przede wszystkim jednak prowadził głębokie rozpoznania terenu, które w wypadku szpiegów wymagają czasu akulturacji, aklimatyzacji z ukrycia, obserwacji i podrzucania pustych kopert do rynien w zaułkach – on zaś robił to wszystko z poziomu, tu chciałem się przejeździć „domu”, ale nie wiem, czy on w ogóle miał dom, z miejsca innego niż to, gdzie miał złądować. Obserwował

przez kamerki internetowe, czytał książki, pod pseudonimami, udając uwodziciela kobiet, czyli bogatego biznesmena uwodzącego mężczyzn z rad nadzorczych, wdawał się w wielodniowe czaty, z których z wprawą wyłuskiwał szczegóły typu co ile dni na balkonie na trzecim piętrze kamienicy nr przy ulicy cośtam suszona jest pościel. Rysował plany upstrzone notatkami. Sądzę, że dziś – od naszego spotkania minęło już kilka lat – śle drony, nie miałbym odwagi spytać, czy legalne, no chyba że faktycznie zładowałbym w jego hotelu. (Tam mogłoby się jednak okazać, że na biurku leżą mapy innego zupełnie miasta... w szufladzie zdjęcia innego zupełnie faceta...). Lub on w moim. Teraz kiedy o tym myślę, pojawia się przypuszczenie, że może pisał jakiś wielki a osobliwy bedeker; lecz nie, jest to zbyt sensowne, zbyt usensowniające, a przeto nazbyt paranoiczne. No i nie pochodził z narodu księgi. Nawet czekowej.

Gdybym spotkał go dzisiaj (o ile go nie minąłem w innej podróży) – o *esprit d'escalier!* – podsunąłbym mu najdoskonalszy kamuflaż, spod najciemniejszej latarni: nając się jako *local guide*, takiego nikt wszak nie podejrzewa o bycie turystą; niestety jest on zmuszony przebywać w ich towarzystwie. Żyd w NSDAP. Gej w falandze. Arab rezydent Białego Domu. Polak w Polaku. Narodowości próbował unikać. Teraz przypominam sobie, że właściwie od pierwszych tygodni mojego życia w Barcelonie nikt nie turroryzmował mnie wzrokiem na Ramblach. Być może wtedy, w tym barze, powiedziałem X, że jestem niewidzialny. A on mnie widział.

/Jerozolima-Kraków 2015/

PODRÓŻE
POTWÓRZE

byłem na scenie
starodawnego teatru greckiego
ilu aktorów przede mną
na serio bawiło się
w te podgrywajki?
miliomundi!

*/ niedrukowane (oczywiście)
z notatnika poetyckiego efeba,
Troja 1997/*

UPAŁY W TURCJI

pot po okularach spływa...
lokomotywa!

*/ niedrukowane (oczywiście)
z notatnika poetyckiego efeba,
Ayvalik 1997/*

NA WĘGRY

w gębie papryka
węgierska afryka
gaszę winem czerwieniem
potrawy płomienne
a dla serca jako głowy
dzikie cery oliwkowe...

*/wiersz drukowany w „Pod Wiatr” 1999, nr 10,
Eger 1999/*

JEDWABNIK

ikona
moją pasję zamyka
w kilku paciorkach szklanych szeptanych
równodusznie otwiera
okona

*/z tomu „Samotulenie” (2002),
Rosja 2000/*

HYMN O MIŁOŚCI BLINÓW

z jakiej och jakiej przyczyny
na mym smaku bliny
wypaliły blizny?
z niewinnym kawiozem
serdecznym muchomorem

chłopcu dziewczyno
na placu puskina*
zjedz blina

bliźni bliźniemu blin

*/z tomu „Dywan Pierrota” (2009),
Moskwa 2000/*

* najlepsze bliny są na placu puskina

MOSKWA PIERWSZEGO OKA

hałas tłumi zabytki
chronić się panie
в хpаме!

w poniedziałki nieczynne

*/niedrukowane,
Moskwa 2000/*

ODOGŁOWIE NA
SPARTAKOWSKOJ
(ULIZJA)

deszcz zrobił korek
w butelce autobusu
dżin oblizuje się z przerażenia
udusi się z pragnienia
czekając aż odjedzie świat

*/niedrukowane,
Moskwa (powódź w mieście) 2000/*

SZTORM

w kopule kajuty kołysana sardynka
olejem za szybką snu szukam przecinka

*/niedrukowane,
rejs Moskwa-Petersburg 2000/*

święty petersburger
podług newskiego prospaktu
podglądałem przez dziurkę
stojąc u borowickich bram
a kto zjadł klucz
a sam

*/niedrukowane,
St. Petersburg 2000/*

POETA ROZMAWIA Z MIŁOŚCIĄ

rozmawiałem ze słuchawką twojego głosu
gdyby choć miała kształt twojego ciała
a nie rybi
wystukiwałbym numer twojego dna
w bramę słów ssłów
wierząc

*/z tomu „Homunculus” (2005,
Londyn 2002/*

la playa los puertos de los cuerpos
todos en el mar seco increíble

*/niedrukowane,
Tossa de Mar 2002/*

Z KRAJU DALEKIEGO OD CIEBIE
(FRUSTRACJA SEKSUALNA)

lędźwie obudzone budzę ciało najpóźniej głowę
myję się jem wychodzę
wracam jem wychodzę
wracam kąpię się jem
piszę czytam słucham
dobranoc pchły na noc –
a szczypawki do zabawki

*/z tomu „Homunculus” (2005),
Barcelona 2003/*

DARKROOM

w mroku szukasz
gwiazd przewodniczek łodzi?
wstąp do darkroomu
i wszystko staniesz się jasne
zapalniczki żywego ognia miłości
uspokoją ciemną noc zmysłów

w niewidzialnym pokoju możesz dostrzec kosmos

*/z tomu „Homunculus” (2005),
Barcelona, klub Arena 2003/*

... i jest jeszcze miłość niemożliwa
na płycie lotniska dwa ciała
między odlotem swoich samolotów
kochają się by wiedzieć że tę właściwą osobę
silniki zagłuszają zbędny czas wietrzne obietnice
które prawie układają się w liść wiersza –
jest jeszcze miłość

*/z tomu „Homunculus” (2005),
Barcelona – El Prat de Llobregat 2004/*

NIESPODZIEWANKA

znów spotkaliśmy się w przelocie
znów kochaliśmy się w samolocie
znów się pożegnamy mimochodem
znów próbować latać samodchodem

*z tomu „Homunculus” (2005),
Barcelona 2004/*

[Przypomniane wyżej wiersze są echem pewnej historii, która w dzienniku „Españadiós” została nie tyle przemilczana, co przetworzona – włożona w usta fikcyjnej postaci Jesúsa. Jej bohaterem był Carlos, Kolumbijczyk, absolwent szkoły filmowej w Paryżu, niemogący z powodów rasistowskich znaleźć pracy w zawodzie operatora we francuskim przemyśle filmowym, później student psychologii w Barcelonie. Dlaczego takie przemieszczenie? Byłem wówczas w związku z Marcinem (opowieści Jesúsa o innych chłopakach to moje przeżycia z pierwszych lat studiów w Krakowie, przed poznaniem Marcina – gdzie „Barcelona” należy czytać jako „Kraków”, nadmorski kurort „Blanes” – to „Zakopane”, a pierwszy związek to niejaki Krzysiek, chłopak z dyskoteki zaś to niejaki Wojtek), w „Españadiós” występującym jako „Maleństwo”, bo tak też Go nazywałem, wydaje mi się, że to On chciał by Go tak nazywać, a może to On zaczął do mnie pierwszy mówić „Tygrysku”, to ja Mu odpowiedziałem „Maleństwem” (tak też mieliśmy się zapisanych w telefonach), w innych tekstach występował już pod swoim imieniem. Nie zataiłem przed Marcinem przygodowych aspektów swojego pobytu, w każdym razie nie całkowicie. Taki był powód, jak po kilkunastu latach mi się wydaje. Przytaczam tę historię z książki – oryginalną wersję znajdziecie na stronach 107-113 – i próbuję uczynić ją na powrót „swoją”, świadom, ile kaprysów praca pamięci mogła po drodze, przez 12 lat, wykonać. Uzupełniam to krótkimi ustępami z „Lizony”, gdzie otwarcie wspominałem Carlosa].

Byłem w sobotę w dyskotecce Metro niedaleko Uniwersytetu, trochę potańczyłem. Obok kibla był darkroom, więc wlałem. Przeszedłem przez labirynt, ale nic ciekawego, jedna parka sobie trzepała, to się chwilę pogapiłem. Potem stanąłem na rogu. Podszedł jeden koleś, o ile mogłem dojrzeć, bo przecież było ciemno, Pakistańczyk, młodziutki. Pomacał mnie, ja też go pomacałem. Ale on chciał brać, tam, więc go odesłałem i po chwili wyszedłem. Poszedłem tańczyć do drugiej sali, tam, gdzie grają bardziej popową muzykę. Tańczyłem trochę, ale było mi jakoś smutno. Więc znowu poszedłem do darkroomu. Jak tylko wszedłem, to od razu

rzucił na mnie spojrzenie jakiś koleś w rogu, myślałem, że Murzyn, bo prawie w ogóle go nie było widać. Ale nic. Postąłem chwilę i on patrzył na mnie. Ja też spojrzałem, a to znaczyło, że nie odrzucam. On podszedł, stanął obok i wyciągnął rękę ku mojemu rozporkowi. Ja to samo. Żadnemu nie stał. Ale co tam. Stanął naprzeciwko i zaczęliśmy się całować, on dotykał moje ciało i powtarzał „ale jesteś piękny... ale jesteś piękny...”, podwinął mi koszulkę, zaczął mnie lizać... I spytał, czy pójdziemy do niego. Ja nie chciałem, no bo obcy. Więc zaczęliśmy sobie walić. Ja ze stresu, że nowe ciało i chyba że miejsce publiczne, nie byłem w stanie. „Nie jesteś maszynką do seksu” - powiedział mi kiedyś, rok później, w innym już wynajmowanym pokoju, kiedy akurat stracił jedną pracę i szukał nowej, a ja zupełnie przypadkiem spotkałem go na ulicy, wróciwszy na dwa tygodnie „na stare śmieci”. Potem chciałem wyjść z darkroomu, wiadomo, ale on mnie zagadnął, wyszliśmy, pogadaliśmy chwilę o współczesnym teatrze, kinie i postanowiliśmy iść do domu. Okazał się bardzo, bardzo miłym chłopakiem, inteligentnym, kto by pomyślał w darkroomie, gdzie odegrał taką bestię. Zgodziłem się pójść do niego, zaraz obok dyskoteki. Już żadnego seksu, przytulaliśmy się, całowałem jego kark, ręce, byliśmy delikatni. Rozmawialiśmy. Obudziliśmy się po piętnastej. Poszliśmy na kawę i rogaliki obok... On potem musiał iść do pracy. Bałem się tej chwili. Zrobiłem się uległy, stopniałem. Spytałem go nieśmiało, czy zaraz powiemy sobie cześć na trwałe. On wziął mój telefon, ja jego. Mieliśmy się spotkać następnego dnia, zadzwonić. Odprowadził mnie do metra, przytulił... było mi smutno... pocałowałem go w policzek i rozeszliśmy się. Resztę dnia przebrnąłem jak we śnie. Słuchałem smutnych piosenek, czytałem poezję... Następnego dnia poszedłem na kurs katalońskiego, czekałem, czy zadzwoni, ale mówił, zadzwonimy się, to może on nie był pewny, co ja czuję, tak pomyślałem i po zajęciach zadzwoniłem. Był miły i umówiliśmy się, że spędzimy noc u niego, jak skończy pracę w barze o północy. Odżyłem. Zrobiłem dobry obiad... O 22 zadzwonił i powiedział, że dziś pracuje do pierwszej i że zadzwonimy się jutro. To już nie wiedziałem, czy próbuje mnie spławić, czy co... Trzy godziny do tej pierwszej jakoś wysiedziałem, usiłując oglądać

telewizję i chciałem zadzwonić. Ale pomyślałem, to jest, zmusiłem się do pomyślenia, że trzeba to odłożyć do jutra. Najlepiej poczekać, aż on zadzwoni. Cały dzień na kursie katalońskiego byłem ponury i co chwilę zerkałem na komórkę, ale ani drgnęła. Wróciłem do domu, odczekałem do wieczora i zadzwoniłem, bo pomyślałem, że może nie ma pieniędzy na karcie, zorientowałem się, że nie jest zbyt zamożny. Był miły, ale obcy, chłodny. Powiedział, że mnie nie rozumie. Przeprosiłem go, on powiedział, że nie ma za co i że zaprasza mnie na noc, zdzwonimy się później na którą. Ja nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem, żeby tylko nie było jak wczoraj, bo jeśli chce mnie spławić, to od razu, nie chcę, żeby mnie zwodził, jak już raz było, a on się zezłościł i powiedział, że miał prawo odwołać to spotkanie, że pieprzyliśmy się tylko raz i że zadzwoni później, cześć. I rozłączył się. Załamałem się, pomyślałem, że wszystko spieprzyłem, ale wciąż wierzyłem, że zadzwoni. Nie dzwonił. W końcu wysłałem mu smsa, że przesadzam, ale tylko wtedy, gdy mi zależy, więc żeby się nie gniewał, że wszystko mu wytłumaczę, jak się spotkamy, o ile warto to tłumaczyć i że czekam na telefon. Nie zadzwonił. Nie pamiętam już jak, ale kontakt został nawiązany – zaproponował pójście do kina na *Dogville*, głośny wtedy film. Ja akurat wolałem oglądać podczas pobytu kino hiszpańskie, jakie w polskich kinach nie gości, ale oczywiście uległem, jak to robię – do pewnego momentu – to znaczy dopóki nie zorientuję się, że ktoś nadużywa mojej elastyczności – kiedy mi na kimś zależy. Pracował w barze do późna, to było w tygodniu, kazał mi sprawdzić repertuar kin, czy gdzieś grają. Nie pamiętam, dlaczego akurat nie miałem egzemplarza „El País”, który codziennie dostawałem na uczelni, może gratisy się tego dnia rozeszły zanim dotarłem na uniwersytet, zamiast tego poszukałem w internecie. Albo nie umiałem tego dobrze sprawdzić, albo wystąpiły jakieś błędy, w każdym razie dałem mu znać, że w cineplexie Icaria koło Port Olympic grają o północy. Miałem tam fatalny dojazd w dzień, co dopiero w nocy, no ale, jak to ja, jak mi zależy, to się robię giętki i może nawet bardziej niż potrzeba. Pomyślałem, jak się z nim teraz nie spotkam, to będzie mógł dopiero za jakieś pięć dni, trzeba się zgodzić. Carlos napisał, żebyśmy się spotkali pod Kolumbem

albo pod Muzeum Historii Katalonii, nie pamiętam. Tu bez problemu dojechałem autobusem a może jeszcze i metrem. Zaczynało się robić późno, za dwadzieścia północ czy coś takiego. Ten przyjechał zziębnięty na rowerze i tylko wrzasnął „łap taksówkę!”, ja stanąłem w miejscu rozdziawiwszy oczy, on machnął na czarny pojazd, „ja pojedę rowerem”, powiedział i ruszył, wsiałem do taryfy już cały spanikowany, czy mi wystarczy kasy, bo nigdy (wcześniej ani później) nie jeździłem w Barcelonie taksówkami, a naprawdę wtedy nie stałem fantastycznie z pieniędzmi, kurs euro był może najwyższy w historii zresztą. Wyprzedzaliśmy Carlosa zaiwanającego na rowerze, odwróciłem się i patrzyłem przez szybę, on dawał jakieś znaki. Dojechałem pierwszy – centrum handlowe Icacia dość wymarłe. Carlos moment później. Ale otwarte.

– Może kino jest czynne, a sklepy już o tej porze nie. – Mówię.

– Właśnie. – Ale idziemy, zamknięte. Wisi rozpiska, że owszem, *Dogville* o północy, ale w sobotę. Carlos na mnie patrzy... może bez wyrzutu nawet, ale ja poczułem, że muszę się tłumaczyć, trzeba było pewnie się roześmiać i zbagatelizować sprawę „ot, przygoda”, ale ja wymyśliłem jako strategię obronną atak na samego siebie (żeby uprzedzić atak jego i mocniejszy). I zacząłem wyrzekać, że o boże, jak ja sprawdzałem, a ten internet, to straszne itp. – podkreślałem czy aktorzyłem, no. I że tak mi przykro, i że jak to możliwe. A Carlos (starszy ze 3-5 lat) do mnie z uśmiechem może pedagogicznym czy pobłażliwym: – Dziecko nowej generacji! Co wierzy, że w internecie jest wszystko! I wszystko się zawsze zgadza! A ile razy się na internecie przejechałem. Idzie się, młody, do kawiarni, zdejmuję gazetę z wieszaka i patrzy na program kin i tyle. Nie musisz tej gazety nawet kupować. – Powiedział, jakby czytał w moich myślach, bo pewnie już miałem na końcu języka, że to przez to, że „El País” mi zabrali, paluszekgłówa, sorze. Poza tym wydawało mi się, że to ta młodsza generacja, mojego brata raczej, taka cała z internetu, ale... I jak tu teraz wracać, autobusem nocnym?, gdy ten z rowerem... następną taksówkę brać...? (Za tamtą wyszło z 5 albo 8 euro). Zwłaszcza kiedy nie chcesz się bynajmniej rozstawać. – Chodź – powiedział – pójdziemy na drinka do

baru. Należy się nam. – I poszliśmy piechotą, on prowadząc rower, spory kawałek przez Ronda Litoral, co widać z góry szyny kolejowe wiodące do Estació de França, potem stanęliśmy na rogu Laietany przy Barcelonecie, pamiętam jak przez mgłę, chyba był tam czynny bar, ale albo z jedzeniem, albo go zamykali, albo był pełny, a może stanęliśmy, bo Carlos spotkał znajomą. Poszliśmy chyba przez stare miasto, wąskimi uliczkami nie główną drogą, w każdym razie docelowo do Raval, gdzie Carlos wtedy mieszkał. On wypił w barze drinka, a ja nie pamiętam co. Liczyłem, że mnie zaprosi do siebie na noc, było koło 2, ale powiedział, że jest zmęczony i się pożegnaliśmy. Do domu miałem piechotą jeszcze z kwadrans. Na *Dogville* poszliśmy do jakiegoś kina w dzielnicy Gracia, może Bosque, a może było to miejsce, które dziś nie istnieje (szukam ja w tym swoim internecie teraz...). Jechaliśmy razem metrem, co ja chyba jakoś przeżywałem. Że „razem”. Teraz mi się przypomniało, że Carlos chyba nawiązał rozmowę czy kontakt wzrokowy z jakimś chłopakiem, uśmiechy może, więc ja albo usiłowałem zamordować tamtego kolesia wzrokiem, albo Carlosa, albo się niby obraziłem, nie pamiętam dokładnie, Carlos w każdym razie mi powiedział, że to nic nie znaczy i że szkoda życia, żeby się o takie duperele dąsać. (Być może w tym wypadku po części chodziło o to – znam siebie co nieco a i wypadek taki nie był ostatnim – że zwrócono uwagę na niego, nie na MNIE; zaraz mi się uruchamiają ciągi skojarzeniowo-kompleksowe, że w takim razie muszę być brzydki i co taki atrakcyjny ktoś, kogo wszyscy chcą, robi ze mną itd.; rzecz prosta wypadki odwrotne, tj. kiedy się wyłapuje MNIE w obecności..., zupełnie mi nigdy nie przeszkadzały). Z kina wracaliśmy już piechotą przez Gracię, którą znam bardzo słabo, ale Carlos dobrze, omawialiśmy film, jemu się ogromnie podobał, mnie oczywiście też, ale jakoś więcej mi się podobało wspólne bycie, siedzenie obok, łapanie się za łapki itd. Myślę, że przy Plaça Catalunya, przy którymś zejściu do Raval, Carlos objawił mi, że wyjeżdża na trzy miesiące do Kolumbii, odwiedzić rodziców po iluś (8?) latach niewidzenia się, pierwszy powrót od czasu wyjazdu do Europy. Spotkaliśmy się jeszcze raz, u mnie, tj. w mieszkaniu Salva, pamiętam śmieszna scenę po, poszedłem siku, wracam –

Carlota nie ma, a ponieważ wydawało mi się, że on jest osobą lubiącą „głupie żarty” (czyli takie, jakich ja nie lubię, np. podtapianie się w jeziorze itd.), zacząłem szukać go na balkonie, w szafie, pod łóżkiem... A on zawinął się we wszystkie możliwe koce (zimny był mój pokój jesienią) i leżał na łóżku tak, że go nie było w ogóle widać. Wyjechał krótko przed bożym narodzeniem, parę dni spędziłem na smutno, ale niebawem przyjechał Marcin z Polski na trzy tygodnie i było fantastycznie. Byliśmy bardzo blisko, a ja chyba nigdy wcześniej nie mieszkalem z kimś trzy tygodnie. Do disco Metro też zajrzeliśmy. Zresztą Marcin przez jakiś czas też wspominał te trzy tygodnie jako najlepszy czas w swoim życiu. Nie wiem, czy w związku ze mną, czy ogólnie. Potem chyba mówił, że najlepszy okres w jego życiu – a może najlepsze wakacje – to była Tunezja. Tu wtrączę tylko, żeby osoby myślące o mnie jako osobie fałszywej czy dwuuczuciowolicej, sobie darowały albo też pocałowały się w którąś ze swoich dwu dup; nawet mimo że nie wiedziałem wtedy, że Wenus moja położona jest w podwójnym znaku Bliźniąt, to wiedziałem, a nawet czułem, że czasami można kochać dwie (a może i więcej) osoby równocześnie i jednakowo mocno, choć może nie za to samo (ci, którzy mówią, że „nie kocha się za”, to przesadzeni idealisci). Choć nie jest to jakaś „stała” w moim życiu. Kiedyś, na I. roku, „zakochałem się” w parze chłopaków z Trójmiasta, którzy wpadli na weekend do Krakowa, ale w żadnym z osobna tylko w obu jako całości; a ponieważ byli z kumplem singlem, to całowałem się z nim. Nie chcę już w tym momencie przypominać o swoim obecnym backgrou-dzie teoretyka *queer*, który umożliwiłby mi sproblematyzowanie tego naukowo, w tym – moim – wypadku pierwsze było przeżycie. Jak wspominałem wcześniej, spotkałem Carlota po swoim (i jego z Kolumbii) „powrocie”, na ulicy, w Raval. [Zdawkowo opisałem to w *Españadiós*]. Karma. Także dlatego, że Carlos miał wcześniej chłopaka Polaka. Jeśli się nie mylę, może największą dotychczasową miłość – czy najdłuższy związek, ze trzy lata. Świta mi, że Marcin się nazywał. Ślązak z Katowic, a może ze wsi śląskiej, ale studiujący w Katowicach, potem mieszkający w Barcelonie (co wtedy wcale nie było wśród Polaków częste). Pochodzenie odgrywało pewną rolę, bo

chłopak miał momenty zamykania się i obwiniania na tle religijnym, że grzeszy itd., że musi wracać do Polski się ożenić, w końcu wyjechał, związek się rozpadł. (Carlosowi została w spadku jedyna oswojona fraza po polsku: „jesteś kapryśna”). Wpadliśmy na siebie wtedy we wrześniu na ulicy, gdzie wtedy mieszkałem (u Claudii i Fede), był wieczór, wracałem do domu, może z jakąś siatką w dłoni – ale Carlos natychmiast zaproponował, żeby pójść do niego, bo cały dzień nie jadł (ja oczywiście do nieswojego mieszkania nie bardzo mogłem zapraszać), a właśnie miał problemy finansowe z powodu utraty pracy w barze – mieszkanie wypożyczył mu ktoś znajomy, w Gòtic (starym mieście). Kiedy do niego szliśmy, pozdrawiała go cała żyjąca na ulicy młodzież i niebieskie ptaki. Zrobił sobie spaghetti z czosnkiem, czy może tradycyjne alio olio peperoncino, całe mieszkanie parowało czosnkiem. Spojrzał krytycznie na moją głowę i powiedział:

- Mógłbyś się ostrzyć. Albo... ja cię mogę ostrzyć. - Wyciągnął maszynkę elektryczną i stanął wyczekująco.

- Dobra...! - Zgodziłem się głównie dlatego, że wydawało mi się to nową perwersją. Bo co prawda w pierwszych minutach drogi do jego domu Carlos zastrzegł, że seksu nie będzie, bo właśnie podjął decyzję, że idzie w pewną formę ascezy, gdyż w kółko myśli tylko o rżnięciu, ja wnet zrozumiałem, że strzyżenie to nowa sublimacja w ramach tej „ascezy”. Zdjąłem koszulkę i spodnie, usiadłem na stołku, prężąc sześciopak, a Carlos łypnął na niego pożądliwie. Strzygł mnie „na rekruta”, widać tak umiał, co i rusz ocieraliśmy się o siebie, ręce coraz bardziej mu się trzęsły, w końcu nie wytrzymał, niemal rzucił maszynkę (fryzury jednak dopełniwszy), pchnął stołek ze mną tak, że wylądowałem na materacu i sam rzucił się jak tygrys. Post factum okazało się jednak, że jest trudność z robieniem siku, bo woda w klozecie odcięta. Pozwolił mi się jednak wysikać (sam zrobił dopiero rano w barze...!), zalewaliśmy jakąś wodą z kranu w mikrokuchni. Ponieważ nie chodził do pracy, widywaliśmy się często przez parę dni, potem chyba złapał jakąś fuchę, bo zaczął mieć pieniądze, w tym sensie, że byliśmy raz czy drugi w kawiarni, robiliśmy wspólnie obiad „u mnie”, bo dziewczyny, widząc moje świece w oczach, a i poznawszy

w barze, pozwoliły, kupiliśmy na spółkę składniki i gotowaliśmy kuskus (który on nazywał „cous cous clanem”), leciała płyta Nigela Kennedy’ego i Kroke z żydowsko-bałkańską muzyką, potem Sara Brightman, ja dośpiewywałem falsetem a on śmiał się, że to głosik dziecka (zostawiłem mu tę płytę na pamiątkę); znów w jakimś muzeum w Raval czy księgarni obok muzeum kupił mi album czarno-białych fotografii aktów męskich na pamiątkę z fikuśną dedykacją (i rysunczkiem). Bo następnego dnia leciałem do Polski rozpoczynać nowy żywot doktoranta. Pojawił się pomysł, że Carlos przeniósłby się do Polski i pracował jako lektor hiszpańskiego (to dopiero później miało się stać sposobem na życie Latynosów w Krakowie czy Hiszpanów szukających możliwości poza ojczyzną w kryzysie, tak jak mój były student a obecnie kolega Guillem, co któryś już rok uczy w szkołach, wtedy jednak kierunek emigracyjny jawił się raczej odwrotnie...). Dlatego po powrocie lekko oswajałem Marcina z postacią Carlosa i ideą jego przyjazdu i nie oponowałem. Pisałem do jakichś szkół. Pamiętam, że jeszcze w dniu zmarłych pisałem mu jakieś maile o tym, jak to się w Polsce spędza (a mając depresję, że tak szybko się robi ciemno – a ciemno to pusto, jak wtedy w życiu czułem), i że jakaś szkoła wyraziła zainteresowanie. On wracał w mailach do „cous cous clanu” jako ciepłego wspomnienia. Był piękny, wrześniowy, słoneczny dzień wtedy, jedzenie lekkie, muzyka przyjemna, mieszkanie puste...

[Wklejam teraz fragment z prozy „Libona” o jednym ze wspomnianych wyżej wyjść do kawiarni].

[...] *un petit bourgeois*, jak nazywał mnie kiedyś Carlos Kolumbijczyk w ciemnym zaułku Barcelony, z niejakim resentymentem, lecz i z jakim sentymentem!, kiedyś doprowadził mnie nieomal do nerwicy, gdy nazamawiał ciastek, wód, kaw przy Mercat St. Antoni w Els Tres Gats i spytał, ile mam kasy, by spytać, czy umiem szybko biegać, bo nam zabraknie*, wysupłaliśmy obaj wszystko i wyliczyliśmy, że

* Niedawno Guillem mi powiedział, że jest to praktyka określana potocznie jako „sinpa” – od „sin pagar” (dosł. „nie płacąc”). Praktykowana od lat,

zabraknie, lecz stał się cud, bo tam kelnerzy są bardzo zalatani i roztagnieni, Carlos powiedział, żeby nas podliczył, a butelkę po wodzie, zamówioną przez Fede, która zostawiła z a m a ł o i poszła, trzymał pod stołem, kelner wyliczył od ręki b e z w o d y i wystarczyło, potem szedłem jak z waty błady, a on się ze mnie śmiał, acz nie złośliwie, wręcz przeciwnie, nagle i ty, udając przez lata przy łagodniejszych twardszego znajdziesz w takim rozdaniu miętę [...].

...jeszcze o Kolumbii to i owo mi zwierzał Carlos, jeśli jednak Claudia powtarzała w kółko, że muszę ją zwiedzić i jest cudownie, to Carlos, niczym ich enfant terrible literackie Fernando Vallejo malował farbami raczej niderlandzkimi, no, że zostałeś napadnięty w Bogocie, to żadna sensacja, raz na jakiś czas musisz zostać napadnięty (także Claudia opowiadała, jak raz zdawało jej się, iż jest podrywana i już już mieli uświetnić chwilę pocałunkiem, gdy s i c a r i o powiedział, no dobrze, Claudia, amor, a teraz oddaj mi zegarek...), Carlos szedł sobie ulicą wieczorem, gdzieś w centrum, podeszli do niego, pamięta tylko uderzenie, kiedy się obudził, leżał na ziemi jeszcze w mieście, ale nie w centrum, nie miał pojęcia, gdzie jest, był bładny świt, oczywiście nie miał kasy i zdaje się również dokumentów, na ulicy pusto, nie wiesz, kogo spytać, gdzie iść, zresztą Bogota jest wielka, można iść pół dnia, kręcił się tak, w końcu zdecydował się iść większymi ulicami i jakoś trafił w znane sobie okolice, u nas życie – mówił – znaczy dużo, dużo mniej niż tutaj, wy tutaj strasznie o nie dbacie, jesteście przywiązani, u nas każdy wie, że może wyjść i nie wrócić i to go nie obciąża, ale tak jest w miastach głównie, moi rodzice są już zmęczeni miastem, pracą, są starzy, marzą o domku nad morzem, gdzieś na Karaibach, odkładam, żeby im kupić, będą tam mieli owoce, warzywa, nie będą musieli pracować, a... a emerytura?, pytam naiwnie, Carlos się lituje, pequeño burgués, u nas nie ma emerytur, nie możesz pracować i dzieci cię nie utrzymują to umieraj; pojąłem, że jak lato i zima w Ameryce Południowej wypadają odwrotnie, tak i ja jestem

także przez niego w dzieciństwie niekiedy. Niby w Hiszpanii poniżej iluśset euro (szkód czy kradzieży) prawo nic nie może zrobić takiemu p í c a r o.

jak tamtejszy starzec, na utrzymaniu Rodziców, a jakby przestali, to umieraj... albo napadaj!

*fragmenty dłuższej prozy lisbońskiej „Lizona” (2007)
(inny fragment ukazał się w „Tyglu Kultury” 2008, nr 6)*

DYPLOMATYKA

požadający wkłada grube cygaro między wargi
požadający dwadzieścia lat przed narodzinami
pożądane go poznał jego kraj
požadający wie że nie może żądać
požadający subtelnie wymienia poglądy
proporcjonalnie do ciała požadanego
požadający trzyma rękę na pulsie

požadany
zastanawiam się do jakiego stopnia
dobrze być uprzejmym
jak nie dotknąć a nie zostać dotkniętym
mówię nie jestem palący
myślę do niewidzenia

*/z tomu „Homunculus” (2005)
Barcelona, plaża Sant Sebastià (Barceloneta) 2004/*

[...] poszedłem w tym wrześniu, w tym epilogu, na plażę naturystyczną na Barcelonecie i opalałem się spokojnie, nie oczekując dziś nikogo, i każdy przykrym był natrętem, ale chyba nie obczajałem jakiegoś kodu, bo niektórzy byli naturalni, ale i sporo tekstylnych, przysiadł się stary lowelas i zaczął gadać, ja coś tam uprzejmie, lecz z zamkniętymi oczyma odpierałem, ale on nagle ujął mą dłoń w przegubie, oj nie mój panie tego to już za wiele, oznajmiłem, na co on obrażony odszedł, ale z godzinę później jakaś krępa czterdziestolatka się na mnie gapiała, też natura, ja raz się podniosłem piasek strzepać, a ona, że podoba jej się moje ciało, ja na to uhu, ale ona, czy nie przeszkadza mi, że na mnie patrzy, tu jest plaża naturystyczna, señora, oznajmiłem, czego ona nie złapała, bo orzekła, że jej też nie przeszkadza, że b y m na nią patrzył, ale jak ona patrzyła, że nie zauważyła, że ani razu na nią nie spojrzałem i w ogóle dokoła same cioty, gdzie ona ma się te oczy?!, a skąd jesteś, pyta, to tajemnica, odpowiadam, bo już pół plaży patrzy, słucha, ale no powiedz, ja jestem stąd, no to jak masz na imię chociaż?, ja na to Peter Pan de Neverland, ona ale ja poważnie, ja też, ja, to ona, że miała raka, ten rak zmienił jej nastawienie do życia, stąd ten naturyzm, przeszła na buddyzm, była na kursach w Indiach, na co ja tak a na jaki, klasyczny, tybetański czyli lamaistyczny czy może zen?, to zrobiła oczy, nie słyszała tych słów nigdy, ja medytuję, odpowiedziała, a ja się opalam i się odwróciłem, odsłoń mi moje słońce, damulko, ale ona nie daje za wygraną będę patrzyła! woła, na co ja do ludzi dookoła, co mieli teatrzyk za friko, co się dzisiaj dzieje na tej plaży, tutaj chcą się ludzie parzyć!, rzekłbym, iż to piach naturystyczny, a wmawiają dom publiczny!; niejasne, czemu to pominąłem w *Españadiós*? bo napisałem o facecie wiersz i zdawało mi się, że styknie [...].

*fragment dłuższej prozy lisbońskiej „Lizona” (2007)
(inny fragment ukazał się w „Tyglu Kultury” 2008 nr 6)*

urodziłem się na wygnaniu
z miasta które miałem pokochać
miasta kochamy inaczej niż ludzi
inaczej krzywdzą
inaczej nie możemy im odpłacić nadobnym
urodziłem się pod znakiem jaskini kallypso
któremu żadna krzywda i tak nie może pomóc

*/z tomu „Dywan Pierrota” (2009),
Barcelona 2004 (lub krótko po powrocie do Polski)/*

na przylotniku w zurichu
wielka automatyczna brama „great to see you”
nie otwiera się

*/niedrukowane,
Zurich 2004/*

efebra
efeberyda
efeberberyda
barra barra cuda

*/ z tomu „Dywan Pierrota” (2009),
Sousse (plaża) 2006/*

[...] Mama została sama w recepcji, my poszliśmy do pokoju po jakieś rzeczy i wracamy.

- Jak ja wyglądam ? - Dopytuje zaniepokojona i jakby podbudowana Mama. - Bo dosiadł się do mnie jeden Francuz i zagadnął po francusku, angielsku, niemiecku, a ja nic. On coś, że jechał samochodem pokazuje rękami i że dancing, a ja tylko do niego: Polska! Polska! Bo nic nie zrozumiałam.

- Myślę, że rozumiałaś doskonale i użyłaś dobrego sposobu na odstraszenie - mówię. A Marcin:

- Za panią się tu oglądają, kilka razy.

- ...Arabowie lubią taką figurę jak twoja. - Dopowiadam. A Tata idzie z tyłu i nic nie wie, w czym dzieło, bo tylko nam je Mama zawierzyła. Zdradzam mu.

- Trzeba było go z ruska zagiąć: czewo ty chcesz, czortelec! - Zakrzykuje Tata. Nu, francuzkij zajec, pagadi ?

A później pani pilotka zdradziła nam i innym dzieciom w autokarze mknącym po piaski Sahary do butelek, którymi potem będą sobie kręcić, szczegóły jeszcze pikantniejsze i rumieńsze... Seksturystyka od kilku lat kwitnie w Tunezji. Starsze panie i panowie z Europy, głównie Francji i Niemiec, ale też z Polski przyjeżdżają tu na młodych chłopców. Młodzi Tunezyjczycy zarabiają na miejscu na dłuższych i krótszych romansach, lecz liczą również na trwalszą miłość i spełnienie snu o wyjeździe z ojczyzny. I rzeczywiście, grając w kości na hotelowym tarasie porą wieczorową jak brunet, zauważyliśmy idącą pod rękę tęgą panią koło sześćdziesiątki z krótkimi i niegustownymi rudymi włosami i w okularach na okrągłej twarzy - może to Niemka - idącą pod rękę z kadzącym jej na oko osiemnastolatkiem, śniadym i dziecięcym, do tego, na ironię, ubranym w krótkie spodenki. A co chwilę wśród stolików przechadzała się grupka czterech młodych, odstawionych chłopaków, przystojnych, acz wobec nas (dziwnie) obojętnych. [...] Mama opowiada, że raz, kiedy to, jak często, nie chciało jej się wchodzić po schodach na chwilę do pokoju, zaczekała na nas w recepcji. Siedziała na kanapie. Że inne kobiety z młodzieńcami, to rybka. Ale na jej kanapie usiadł dyskretnie młody. I zerkał. Dawał znaki. Mama nic. Ale potem już nie chciała zostawać sama w recepcji.

- [...] Idziemy się chlapać. Świetne fale. Rzucamy się na nie z Marcinem. (Mama z większym dystyngowaniem, by nie zmoczyć fryzury). Przyszło mi do głowy, by je tytułować „faliczki” i Marcin zachwycony podchwycił.

- Faliczki!

- Faliczkiii... - Ryczymy do siebie, aż się nawet Arabowie dziwią.

- Leci na mnie... weź mnieeee! - Wrzeszczę. - Ale dobrze mnie wzięła od tyłca... ale i od przodu można. - Śmieję się, Marcin też. - Doo mniece! - Ryczę na widok wielkiej faliczki, ta smaga mnie w plecy, dają się ściąć, leżą, unosi, masuje, opada. Słona woda leci do oczu. Mama wychodzi, Andy ma comeback.

- Faliczki! - Próbuje go podniecić, lecz on ma rozstrojony zmysł zabawy. Racjopragmatosceptycyzmu faliczki nie podmyją... Już mamy wychodzić, bo to chyba z pół godziny albo więcej nas tak woda nosi (sitem), ale przy brzegu faliczki też dobrze dają. Aż mi kąpielówki opadają lub wcinają się ku rowkowi. (Dowcipa pokolenia Andy`ego: Rów Mariański). Błoto nam wpada na twarz, do uszu, na głowę..., taplamy się jak topless kobiety na zawodach bokserskich dla mężczyzn niektórych. Nagle Andy syczy. Rozciął sobie stopę w morzu. Idzie prędko do Mamy, ale tu nie ma czym splukać, a w morzu sól szczypawka. Idzie więc w stronę hotelu. Pewnie trafił na resztkę butelki, gdzie w dziwnym języku zapisał ktoś w przesłaniu przysłowie: było morze, w morzu kołek, lecz kto inny wpadnie w dołek.

*/ fragmenty niepublikowanej prozy „Tunisny”,
Sousse 2006/*

z zagra wczasów
do szalasów
z ludzkich twarzy
do kuglarzy
z pros języków
do tłokrzyków
wraca polak w miękkim cycu
pan twardowski na siężycu

*/niedrukowane,
Okęcie po przylocie z Tunisu 2006/*

mieszkam teraz tydzień z kobietą
i zmężczam i się mój gender.

sika tak długo
że mógłbym zrobić (sobie) mani
kur ale nie potrafiam.

zdrabnia słówka że szukam
pod łóżkiem dowcipku
a nie znajduję występku.

zawsze zapomni
zapakować kamień
do filozoficznej torebki i szuka
długo stukam do drzwi czoła nieczuła.

na witrynach otacza ją
świat piękna brzydkie jest
słowo o ja pierdołę.

kwa kwa a ile wdzięku
mają małe kacuszki aż dziw
że zawsze leciałem na łabędzie.

zostałem bojownikiem opozycjonistą
przeciw sile która zawsze rozmycia pragnąc
brudasa ze mnie czyni.

jesteś świnią
(mówi kobiecość
jest konstrukcją).

*/z tomu „Dywan Pierrota” (2009),
Lizbona 2007/*

[...] Mijamy rudery, okna bez szyb, domy w rozsypce, bo tych w Lizbonie nie brakuje, nawet w centrum, nawet w Alfamie, Agni to przeszkadzało, „bo ja lubię skończone piękno”, „a ja nieskończone”, i zrobiłem se z ruderami zdjęcie, a w ogóle dla Agni to tu nieczysto zbyt, ale śmierdzi mniej niż w Barcelonie gdziekolwiek (jednak nadmorskość wątroby zobowiązuje), dla mnie normalka, świat proszę państwa to nie są psie jaja, żeby się błyszczał, i sztuka, państwa proszę, nie jest od skończonego błyszczenia, tylko w nieskończoności za te jaja chwyta, i ktoś się zaśmieje, ktoś piśnie z bólu, ktoś sobie utnie – a ktoś nie ma jaj, a jak się idzie brudną ulicą to jest brudno, i fajno jest, i łajno, a jak się wchodzi na ten placik z palmami zielonymi, to zielono mi, a jak latarnia wykorkowała, to jest najciemniej, a jak dochodzimy pod dom – to nie ma nazwy. Światło pada na szyld, nasza ulica jest jasna i bar czynny.

[...] Nagle Agni staje, patrzy, mapa jej opada na nadgarstek – paaalma.

- Ja chcę zdjęcie!

- Z czym?

- No z palmą.

- Mhm. A może nie będziemy marnować kliszy i będziemy robić zdjęcia tylko z czymś, co jest... naprawdę... wartościowe... no... nie? no dobra, o jezu... jezuuu... Pstryk. – Bo to był oczywiście mój aparat i musiałem robić zdjęcia z palmą, z budką telefoniczną, w wagoniku metra, z dwudziestocentymetrowym lwem z kamienia, z drzewem na zielonej trawie, jezuuu... I ostatniego dnia drugi film się zwinął i naprawdę imponujący wodospad na skałach nad oceanem, Boca do Inferno, nie wszedł do kompletu zdjęć conceptualnych. No tak, byłem skąpiradło, ale to z rozsądku. I estetyki. Bo po wywołaniu okazało się, że wszystkie te zdjęcia, których nie chciałem zrobić, są do niczego i wszyscy się dziwili: a po co to zrobione?, na co ja odpowiadałem, dla świętego spokoju, wy całe lata znosicie jędze u heteryckich boków, z których wam wylazły, to możecie się nauczyć odmowy, choć nie widzę jakoś, ale ja w tym nowy, nie żeby mnie te sposoby na tiu tiu i ci ci brały, o nie, brało to owszem na wymioty, ale że mam serce ostatecznie lepsze niż skąpsze, w lepszości skąpane, to już niech

miała, co nie? Dzięki ci boże, że nie muszę zabiegać o kobiety. W końcu jest się tymi przyjaciółmi, o jezuuu, jak to czasem ciężko, ale i tak, Agni, bez ciebie byłoby smutno! Po namyśle stworzyłem teorię. Teorię Agni. Owóż ona widzi jakieś aury, jakieś niepochwytności, np. patrzy – drzewo, ale widzi nie tylko drzewo, widzi więcej, nie wiem co, bo sam nie widzę i aparat też nie widzi. Robię pstryk. Zdjęcie potem jest i – tylko drzewo. Bo te duchowości, te projekcje, nie wchodzą. W kadr. W szkiełko w apa.

- Ja chciałam... że to tak... ta cała chwila... ujmie... - Na przykład w metrze, cała ta chwila, białe, plastikowe siedzenie i czarny tunel. Można by to zdjęcie dać na tylną okładkę jakiejś książki naukowej. Bo niektórzy w nauce też ścigają aury...

[...] Męskość ponosi porażkę, bo babie bata trzeba tak powiedzieć: umawiamy się przy kasie Fnaca za 20 minut. Wykonać. Ja zaś w amoku rzuciłem się na dział etniczny, nic nie ustalając. Wnet znalazłem sto płyt, bez których nie warto żyć – i wybrałem dwie, bo aby żyć, trzeba nie wydawać pieniędzy naturalnie. Naturalnie dlatego właśnie warto jeszcze żyć, że nie można kupić tych płyt, bez których nie warto żyć; a nie inaczej z książkami, pożyczając też z biblioteki. Cały i żywy jej jąłem szukać. Wyglądała tak: k o b i e t a. Widział kto? Króliczka? Ja plejboj, to i upoluję. Dział taki, sraki dział. Nie, ta kobieta sraki nie lubi, ona tylko ambitne, jak kiedyś jej zacząłem opowiadać o Donnie Summer, to oniemiała, a jak wyznałem, że wolę Boney M. od ABBY, to prychnęła, a jak kiedyś u mnie puściłem Michaela Jacksona „Bad” (z adnotacją: będzie to Ci zapewne wspomnieniem studniówki, kochanie...?), to załamała ręce. Tam była: tam, gdzie piszą „muzyka ambitna”, w słuchawkach wielkich.

- Co słuchasz?

- Nie wiem, bo ja dla Tomeczka na prezent, to musi być ambitne i oryginalne, i żeby nikt tego nie chciał, i nikt tego nie znał, rozumiesz. Wzięłam z dziesięć płyt z działu etno, co miały najdziwniejsze nazwy i folklorystyczne stroje na okładce i poszłam do punktu spytać, czy to znane. Jak tylko coś znał, to od razu zwracałam i tak ostałam się z tymi, teraz przesłuchuję.

- Pomyślałem, by rzucić na wszystkie okiem znawcy

i zawyrokować: o, to znam, o, ci Aborygeni nagrali chórki Donnie Summer! (Np. w „State of Independence”). Ale tylko:

- Trzeba było spytać, proszę pana, które to płyty są, co ich nikt nie chce, wszyscy omijają, dziesięć lat zalegają w jelicie wystawy, proszę mi wydlubać takie.

- Racja! Za chwilę. A ty już masz.

- Oczywiście.

- I nie chcesz przesłuchać? - Brzmi jak prośba. Agni już wie, co zaraz będzie. Agnigeddon.

- Ja, który jestem facetem, wchodzę, rzucę okiem i od razu wiem, biorę i kupuję.

- I nie mylisz się nigdy...

- Oczywiście. - Tylko co „oczywiście”, co ja powiedziałem? Prawdę.

- A ja to... ale to zbyt rockowe... ja chcę autentyzmu Tomek chce myślę mam podstawy... Zobacz...

- O, fajne. Po hiszpańsku. Pokaż... Meksyk.

- Co?! - Jak nie prychnie. - Ja chcę nagrania koziarzy portugalskich...

- ...wiem, wiem, co kozy dzwonią dzwoneczkami dzyń dzyń dzyń, oremus!

- Meksykański rock: nie. Następna... - A tu jeszcze z pięć do przesłuchania! Coś ty, dziewczyno, na agentkę szkolona?

- O jakże mi słabo... - Uniosłem dłoń do czoła, miękko gnąc ją w nadgarstku. - Och, czyż nie jest moim losem tutaj zemdleć...? Och, świeżego powietrza...

- Chcesz wody? - Prawda, ma w torbie.

- Nie... tylko herbata może mnie ocalić...

[...] Agni zaś utknęła przy kolorowych jaszczurkach i salamandrach wypełnionych piaskiem. Dla Zuzi.

- Które wybrać? Podoba ci się?

- No już bardziej niż inne te gówna...

- Patrz, wężyk, o. - Agni zwinęła w kłębusia. Milusi.

- Kup to. Zwinęłaś go w kundalini. - Rozprostowałem mu kości z piasku. - Można by Zuzię nastraszyć: Zuziu, lalko nieduża, mam tu dla ciebie prezencik nie lada. A cio? Łaaa!!!, charknąć i rzucić jej znienacka na twarz węża...

- ...brutal. Nie nadajesz się, żeby mieć cudze dzieci.

- Ani cudze węże. Zawsze to mówiłem. Ewom.

- Biorę go.

- To atawistyczne, nie od wczoraj węże was biorą. - I kręcą, dodałem w myślach wraz z obrazem skręconego w kundalini piasecznika, na którym można by usiąść, centralnie. Może by stanął?! Nie powierzyłem jednak tej symulacji Agni, bo w dupie ma cudze z energią zmagania. Tuż obok był drewniany domek - płyty, książki, dom kultury. W stylu trochę zakopiańskim. Skrzypiąc schodami wdrapaliśmy się na pięterko. Płyty zobaczyłem, że klasyka i jakieś ogólne nudy, to na książki, a też ktoś miał puszczenie, ona chyba Amerykanką była, przesłuchiwała, sprzęt był dobry, niestety. Po niej Agni jęła przesłuchiwać. Czekałem już na nią, przejrzawszy (niezłą) półkę z poezją (jedno nazwisko zapisałem se w komórce!). Gdy właśnie bardzo miła skądinąd pani i mądrze z oczu patrząca (mądrze, bo ironicznie na Agni, taka jest naturalnie definicja) odkryła jej bardzo oryginalne i autentyczne nagrania portugalskich piosenek z XIX wieku, nagrane na dyktafon podczas etnologicznej ekspedycji do nieodległej wioski, wykonywane przez 90-letnią panią, co pamięta je z młodości. I jest fenomenem. O, to pewne. Babcia wyła, ryczała i rzeźiła, a jeśli trafiała w dźwięki, to w skali atonalnej, w ogóle nie percypowały się spółgłoski (może zabrakło zębów), przypominało to pisk kojota naprzemian z beczaniem owcy i skrzeczeniem ropuchy. Agni - w chustce na głowie oraz okularach słonecznych - złożyła dłonie jak do modlitwy i wyszeptała poruszona:

- To bardzo autentyczna ekspresja. - Zrobiłem minę „srającego puszczyka”, zaś pani uśmiechnęła się inteligentnie:

- Pan też jest wybredny... - Ni to pytając, ni stwierdzając.

- No really - odparłem enigmatycznie przez agrammatyczność.

*/fragmenty dłuższej prozy lisbońskiej „Lizona” (2007),
inny fragment ukazał się w „Tyglu Kultury” 2008, nr 6/*

co kraj to obcy czaj

*/ z tomu „Dywan Pierrota” (2009),
Maroko 2009/*

[...] Pieniędzy miałem na styk, raz w Agadirze wziąłem z bankomatu w naszym hotelu 100 zł (czyli wszystko, co miałem na koncie), poza tym Marcin zapłacił w supermarkecie za moją *théiere*, herbaciarkę, srebrny czajniczek do parzenia herbaty po marokańsku (chiński gunpowder zielony gotowany z dużą ilością słodkiej mięty, ale nie pieprzowej, dostępnej u nas, ino tamtejszej, mocno osłodzony), bo nie umiałem go stargować na żadnym suku do ceny 80 dirhamów (32 zł), a tak podobno ktoś kupił, choć może chiński, bo ja robiony w Maroku, za 130 dirhamów (ułoż sobie proporcję i oblicz). [...]

Natomiast kolejnego dnia mieliśmy ochotę pójść – jako stateczni panowie w pewnym wieku – na spacerprzechadzkępromenadę po kolacji, zaprosiliśmy Narzeczonych, a ci przebili naszą ofertę, zapraszając nas nad Ocean na picie na plaży z nowymi znajomymi z hotelu obok, poznanymi na fafultecie. Nie było to może spełnienie naszych marzeń, ale poszliśmy, ci nowi znajomomi wzięli jeszcze innych znajomych, rozsiedliśmy się na plaży, ktoś narysował na piasku koło – to będzie stół. Wszyscy oprócz nas (wszyscy hetero oprócz nas) wyciągnęli a to whisky, a to polską wódkę z bezcłówki.

– Tak się bałem, że nie będzie z kim rozpić! – Oświadczył Arsen i poczęstował siebie oraz swoją dziewczynę. Ich znajomi wyciskali przez palce limonkę z kolacji do podwędzonych z hotelu szklanek. Mateusz z Iwoną pili whisky. Incydentalnie zwrócono uwagę na naszą absytnencję.

– Nie byliśmy przygotowani – oświadczyłem – ale też nie mamy ochoty. – Zastrzegłem prędko na wypadek, gdyby zagrażała nam polska gościnność. Miałem w pokoju półlitrową buteleczkę tutejszego wina z Meknes, ale otwartą (mimo braku korkociągu, otworzyłem ją mikrym scyzorykiem Marcina, wpychając korek starym harcerskim sposobem do środka – oczywiście harcerzy znam tylko z książek – właściciel nożyka potem narzekał, że ostrze jest kompletnie odgięte, dziwne, bo zawsze go miałem za chłopca, który docenia przegięte scyzoryki), cóż to jednak za problem, któraś z pań przeniosła pod bluzą otwartą butelkę czegoś. Dowcip lał się strumieniami: a to, że limonki z kolacji podawane są chyba na przeczyszczenie, a to, żeby nie kłaść nóg na stole, nawet jak się

pije, a to, że jak już się najebimy, to dopiero będziemy się śmiać. Ten znajomy znajmych dwa razy powiedział coś inteligentnego, próbował, ale trafiło w próżnię, Mateusz spróbował dyskusji nad kryzysem neoliberalizmu, ale właśnie ktoś się oblał gazowanym napojem i jego apel poległ w beknięciu. My z Marcinem nie mówiliśmy nic, do tego zrobiło nam się zimno, bo byliśmy w krótkich, co w dzień jest aż nadto, ale w nocy... Marcin wręcz twierdzi, że to wtedy sobie przeziębził pęcherz (co mi później nb. pokazały karty pod postacią Ósemki Mieczy, a podobno i podczas kusu Tarota, o czym zdążyłem zapomnieć). Nagle ku nam zaczął podjeżdżać policjant na quadzie. Bowiem służby patrolują tu plażę nie tylko cały dzień, ale też całą noc.

- HWDP! - Arsen zagrzewał nas do ustawki, Mateusz zaś przypomniał sobie, że jest kibicem i opowiedział nam, gdzie w Szczecinie można się swobodnie napierdalać.

- Hallo! - Policjant uśmiechnął się do nas.

- Hallo! - Odpowiedzieliśmy grzecznie.

- Are you having a good time in Morocco? - Spytał nie bez drwiny.

- Yeees!

- Is it regular in your country to drink on the beach by night?

- Yes! Absolutely! - Zapewniliśmy go. - Do you want a cookie? Please! - Poczęstowaliśmy go ciastkiem. - We... They told us... that we are tourist, we can do everything! - Mówił ktoś, topiąc zapewne dobrze wykute prawidła gramatyki w dobrych intencjach.

- Yes... You are tourists... Have a good time... - Policjant spojrział sarkastycznie i odjechał. Ogłoszono triumf Polski. Nie będzie pluł nam w twarz! Kasbą nam będzie każdy gwint, pomóż i dodaj sił! Znów zaczęliśmy się nudzić z Marcinem. Wtedy z pobliskiego klubu nocnego wyszła grupa około 40 młodych Marokańczyków, przyszli na plażę.

- Idziemy się z nimi napierdalać? Ich jest więcej, ale my pijani! Chodźcie im pokażemy! - Rozległy się głosy. (Inteligentny czytelnik zapewne widzi, jak bardzo unikam podania autora tych najciekawszych wypowiedzi, ale też zapewne potrafi dokonać właściwej atrybucji). A Marokań-

czycy ustawili się w kółko, objęli ramionami i odtańczyli coś, potem śpiewali razem, klaszcząc, dalej bawili się w coś à la berek czy kółko graniaste. Jedni dostawali jakieś zadania, odpadali, wszyscy śmiali się głośno, od czasu do czasu śpiewali.

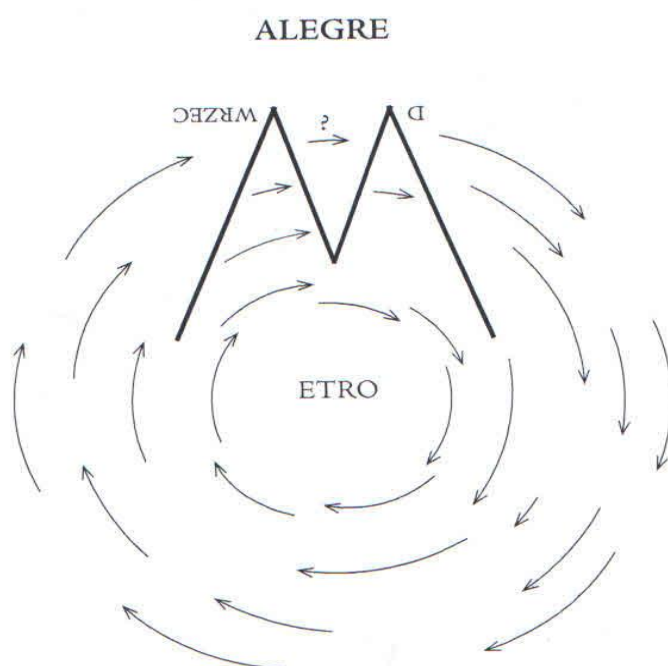
- Pomyślcie, jakie ich życie musi być smutne... W ogóle nie mogą pić... - Powiedział ktoś z naszych. - Może pójdziemy zmacać ich kobiety? - Patrzyłem na Marokańczyków, odwrócony plecami do naszego piaskowego kręgu. A gdy zabrali się z plaży, a Arsen, którego brałem za prawie czterdziestolatka, zaczął opowiadać, jak to w podstawówce tańczył „Macarenę” (która dla mnie i Marcina przypadła jednak na liceum), poczułem się za stary, zmrugaliśmy się z Marcinem, pożegnali i poszli do hotelu. Ale na korniszu czekali już na nas młodzi tutejsi, by spytać:

- Cześć Polska! Vodka dobrze? Dobrze? Good vodka on the beach?

- Yeah, yeah, good, good! - Zapewniłem. Pół Agadiru musiało już wiedzieć, że Polacy chleją na plaży. Wdaliśmy się w krótką gadkę o Marrakeshu, wielbłądach, haszyszu i wreszcie o tej młodzieży, jak się okazało, świadkowaliśmy powitaniu pierwszego roku przez drugi.

- Mucha rucha karalucha! - Popisali się na pożegnanie chrząszczem w trzcinie. Ruszyliśmy zziębnięci ku hotelowi.

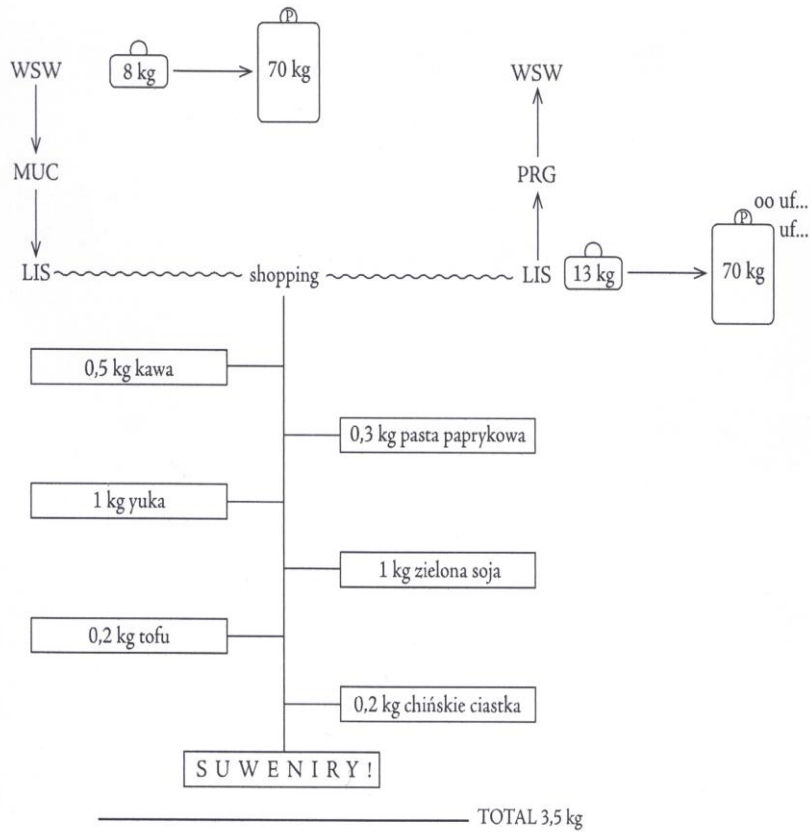
*/Agadir 2009,
fragment prozy „Mataroko. Kronitki podwórzne”
opublikowanej w „Tyglu Kultury” 2012, nr 4-6/*



piotr PORTO
piotr LISBOA
piotr dosiada strzałkę jak miotłę
piotr →?
oficjalne: (signum) „→”
jak się ma piotr do „→”?
żeby znaleźć „→” trzeba znaleźć „→” do „→”?

kawa świetna ☺ ożywia
wino [porto] głębokie ☹ rozwesela
„→” nie została w polsce
porto polska dwa brastrzałki

KONTRATORBANDA



$$(13 - 8 = 5)$$

?

pagaż doświadczeń

2013 V 09

blagaż (?)

blagaż (?)

Sobolczyk 2014

/z tomu „Obstrukcja Instugi” (2014),
Lizbona 2013/

NOR WAY IN

cztery miliony wszystkiego
cztery miliony idiolokutorów
cztery miliony gęb
(jak matka patria
może wyżywić taką mniejszość
totalną?)
cztery miliony bez dziesiątkowania
(jak uwierzyć w dziesięciostulecia?)

po co wydawać gazety?
po co wydawać książki?
po co urządzać konkursy talentów
i po co chcieć zostać gwiazdą?
(jeśli zostaje się tylko ¼
ABBY a A-HA to trio?)
po co mieć więcej niż jedno miasto?
po co mieć klub gejowski
i uniwersytet ze sławistyką?

czy cennik pada pod kątem skośnym
do chin?
czy poczucie dumy pada pod kątem kłęcznym
do sarmacji?

skąd we mnie lęk że z jednym zerem mniej
ktoś będzie chciał mnie wy- ze mnie -mazać?

*/z tomu „Obstrukcja Instugi” (2014),
Oslo, 2014/*

[Mail do M. Z. z Oslo, 5 IV 2014]

Drogi M.!

Wiele tych moich obserwacji może jeszcze się nie uzbierało, ale te pierwsze może są najciekawsze.

Przede wszystkim jak przyjechałem do Lublina, a pakowałem się w pośpiechu, usiłując coś pisać do tego Innsbrucka, uświadomiłem sobie, że nie mam paszportu. Idę z Ojcem ulicą kantorową w Lublinie i nagle pytam Go: słuchaj, Norwegia i Szwecja jest w UE? No, ignorancja, ja wiem, że Ty jesteś w takich rzeczach dobrze zorientowany [...]. Ojciec nie wie. Patrzymy, biuro podróży. Wchodzimy, pytam, facet mówi, że Szwecja tak, ale Norwegia nie, ma umowę stowarzyszeniową. Paszport niepotrzebny, dowód wystarczy. Ale że robią intensywne kontrole.

A tu nie. Nic nikomu nie trzeba było pokazywać. Tylko agent z psem stał i ten pies wszystkich obwąchiwał, torby. Mnie kompletnie zignorował i gdybym był większym narcyzem, pewnie bym się poczuł dotknięty, a tak to lecę do wyjścia, bo samolot się lekko spóźnił, torby przez 30 minut jeździły cztery w kółko, a miałem autobus za 10 minut; wychodzę a przy wyjściu Polacy z tablicami „Polski bus” i „PKS”. (Mnie Knut kazał Osloexpress brać). Na parkingu zresztą nie widziałem tych PKSów, nie wiem, czy to nie jakieś lewe jest. Autobus zresztą odjechał punktualnie, choć dużo ludzi wcale toreb nie odebrało... Wychodzi się w tym Torp, które wśród pól, dookoła woń krowich łajen. Niby to "Oslo airport", ale leży 100 km od Oslo czy więcej.

Knut [...] odebrał mnie z dworca, do rezydencji powiózł. O „rezydencji” za moment, wchodzimy, On mi pokazuje, że kupił mi pieczywa, serów, jogurtów itd. [...]. Wręczyłem Mu suvenir – śliwovicę podbeskidzką – bo tu alkohol drogi bardzo a śliwowica jakby nieznana [...]. Akademicka rezydencja jest na kampusie. Domek z lat – według Knuta szacunku – 50. („zbudowali ją, kiedy nawet mnie nie było na świecie” – bo też byłem przekonany, że Knut jest roaring 40 najwyżej, a ma 51, w ogóle nie wygląda). Biały, no taki kampusowy domek. Wiele

się od tych lat 50. nie zmieniło. Knut mnie oprowadza, już ciemno było (a słońce zachodzi koło 20...!), wrażenie ponure, K. mówi, że tu można by horrory kręcić, no bo faktycznie jak z „Halloween” albo „Koszmaru z Elm Street”. Obok kuchni schody w dół. Knut schodzić tam mi nie kazał. Ponieważ uznaliśmy, że to nieprawda, że jestem tu sam w całym domku (jest 6 pokoi), po prostu wszyscy visiting professors nie żyją i tam się ich trzyma; nie czuć, bo skandynawskie powietrze rześkie i czyste jest. No i jak Knut poszedł i zostałem sam, zacząłem słyszeć skrzypiące podłogi, a już w ogóle oczywiście w kiblu jak się jest, to skrzypi i nawet głosy słychać. Psychoanalitik powiedziałby, że to jest skutek zinterioryzowania tabu defekacji czy coś takiego, im bardziej człowiek się wstydzi, tym więcej słyszy, wszystkie duchy czają się, żeby podsłuchać, że on TO robi. (Niektórzy tak przeżywają swoją seksualność). Kibel jest albowiem zbiorczy na zewnątrz. No więc idzie się do pokoju, a po drodze w korytarzu taki pusty fotel. I ja od razu i potem już ciągle wychodząc z kibla byłem przekonany, że niespodzianie okaże się, że ktoś na nim siedzi. Może byłby to pospolity troll, choć ja akurat wyobrażałem sobie brzydkiego Roberta DeNiro.

Knut miał wiele racji porównując Oslo do... Poznania. Ta wielkość i ta, by tak rzec, jakość. Może ciut wyższa, ale bez przesady. Jest OK. Łaziłem pół dnia, niestety padał deszcz, but mi zgnił, na początku w ogóle się zgubiłem. Filmowałem trochę, pierdoląc jak potłuczony moje monologi waginy - niby że jak będę pokazywać innym, żeby nie było zbyt statycznie, ale kto wie, czy to nie pretekst, taka próba wypełnienia pustki obok, o ileż bowiem przyjemniej, ach, wręcz cudownie, podróżuje się z kimś. (Dużo podróżowałem sam). W podróży fajnie jest, jeśli można się śmiać. No bo co chwilę człowiek się „potyka” o drobiazgi i śmiać się do siebie, no, można, ale to jednak jest czynność społeczna, śmianie się. No więc przemokłem, przemarzłem, wróciłem koło 19, walnąłem herbatę a teraz Johnny’ego Walkera z małpki, które na szczęście w bezclówce były.

O cenach że drogo to pisał nie będę... chyba że mnie tak przytłoczą, to kiedyś tam sobie jęknę. Bergen w tej chwili stoi pod znakiem zapytania, bo pociągiem 7 h w jedną, czyli trzeba

by brać nocleg, a sam pociąg w obie 600 zł wychodzi; autobus porównywalnie, a jedzie 9 h w porywach do 11. Najlepiej samolot, wychodzi podobnie a 45 min, ale dojazdy do lotniska dodatkowo, anyway, może bym się zdecydował, ale nie wiem, gdzie kupić bilety. Knut jest u Rodziców w Stavanger i stąd cała ta moja bezradność... ale nie aż taka. Łażę na orientację, mapy prawie nie sprawdzam.

Poza tym Knut załatwił mi kartę do biblioteki, byłem dziś, okazuje się, że można wypożyczyć do 100 książek (!!!); no więc ja mam w tej chwili w pokoju 30. Brałem na razie z półki „literatura”, wszystko queerowe. (Mam ze sobą skaner ręczny). Tak więc na jakże mile się zapowiadający wieczór (jestem ubzdryngolony) mam np. „AIDS Literature and Gay Identity”. Rozpisałem się, więc nie podam Ci tytułów innych, ale fajne to rzeczy, powiadam Ci, są, a przy tej pogodzie chyba bardziej szalonego wieczoru wymyślić sobie nie mogę. Kolejnym razem pójdę na social sciences, gdzie też są queerowe rzeczy.

[...] A co u Ciebie? Och, możesz być bardziej lakoniczny, jeśli chcesz, roz- lub wy- lewność jest potrzebą osamotnionych, a w samotnej podróży czuje się to dwójnasób. Ale i wieści łaknie.

Pozdrawiam serdecznie
Piotr

na tort sachera jestem masuch
(wenus w polowie czekoladowej)
przybyłem zwiedzić austerię
kubek języka za przewodnika

*/ niedrukowane,
Innsbruck 2-3 X 2014/*

kto flirtuje z mieszkającym w polsce Czechem
ten w pradze ma romans z chińczykiem mieszkającym w brighton
(i ten udaje greka gdy student grek zostaje konwersować platonicznie)

*/ z cyklu „Z notatnika singla”
(fragmenty drukowane w „Kwartalniku Artystycznym” 2015, nr 2),
Praga 2014/*

[Mail do Štěpána Pořízka z 5 XI 2014]

Štěpán Drogi,

[...] Á propos Chińczyków, no właśnie, crazy day. Ta Kanadyjka ma fantazje, żebym na Jej oczach uprawiał seks z O. Ponieważ Ona na mnie leci i uważa, że połowa konferencji na mnie leci. No więc wczoraj nie było go, a dziś jest ten O., Chińczyk, 24 lata, On ma jeszcze inne imię chińskie, ale w Europie używa O., no i robi doktorat z gejostwa w Chinach na uniwersytecie w UK. Siedzieliśmy koło siebie i R. (Kanadyjka) też, no i On jakoś tak tego, jedliśmy razem obiad i On jeszcze bardziej, a po konfie byliśmy na Hradczanach (ja musiałem robić za przewodnika - ze Smichova) no i w Bilym Jerabie i tam już mnie trochę obmacywał. Jutro ma urodziny. Wariactwo. Oczywiście miłe ☺ [...]

Uściski!
Piotr

[Mail do Štěpána Pořízka z 11 XI 2014]

Cześć Štěpán,

[...] Wyrażenie „Czeski film” weszło do polszczyzny za sprawą filmu „nejto nic nevi”, ja tego nie widziałem, podobno absurdalna komedia. Tymczasem fabuła z opisanego hasła w jakiejś mierze mogłaby się kojarzyć z takim czeskim filmem – bardzo dobrym – *Nuda v Brnie* (tytuł polski *Seks w Brnie*; zakładam, że czeskie „nuda” to polskie „nuda”). W tym filmie faktycznie prawie nic się nie dzieje i b o h a t e r o w i e są nudni, zwykli i czują nudę, natomiast widz o pewnym nieco bardziej wyrafinowanym poczuciu humoru pokłada się ze śmiechu... Jest coś podobnego w humorze Wesa Andersona albo Larsa von Triera w filmie *Szef wszystkich szefów* (odpowiednio: Amerykanin i Duńczyk). Skoro o filmie mowa – studenci FAMU zrobili film nowelowy wg *Gottlandu Szczygła*. Wczoraj polscy krytycy w TVP Kultura jednak dość go zjechali. Podobno reżyserzy pozbawili ten film kompletnie poczucia humoru Szczygła, które miało nawiązywać do humoru czeskiego... teza więc padła, że Czesi akceptują humor na własny temat tylko wtedy, kiedy sami są jego autorami. Tymczasem (chyba) ostateczna wersja wiersza wygląda tak:

ČESKÝ FILM

pracownik letiště václava havla grał w porno
kelner z restauracji na smíchovie grał w porno
barman z hotelu **** [czyt. XXXX] grał w porno
chłopak w metrze na anděl grał w porno
10 milionów podzielić przez porno
porno podzielić na czworo
w porno nikdo se směje, polacy nie grają

I tu wraca problem Szczygieł-Czesi-humor. Wobec kogo autor jest tu bardziej ironiczny? Czechów czy Polaków? Hm... Pytanie więc byłoby, co Czesi by sądzą o tym wierszu. Twoja reakcja nie była jednoznaczna. Może przełożyłbyś na czeski?

Spróbowałbyś? Tylko wtedy chyba to co w oryginale, tj.u mnie, po czesku, trzeba by dać kursywą. Ja dziś zrobiłem wersję angielską, posłałem moim przyjaciołom z konferencji.

[Mail od Štěpána Pořízka z 15 XI 2014]

Drogi Piotr,

[...] O *Nikt nic nie wie* słyszałem, ale też go nie widziałem. *Nudę w Brnie* (tak, nuda to nuda ☺) kojarzę, ale już nie pamiętam, czy ten film kiedyś obejrzałem. *Gottland* bym kiedyś chętnie obejrzał, ciekawi mnie, jak w filmie połączyli tyle różnych wątków z książki. Bo *Gottland* Szczygła to bardziej zbiór reportaży.

No ale co do humoru, to nie wydaje mi się, żeby książka Szczygła była zabawna. Może tam były takie momenty, ale w całości jest raczej pouczająca niż zabawna.

Spróbowałem przetłumaczyć na czeski wiersz, który mi nadesłałeś. Oto wynik:

CZESKI FILM

pracovník letiště václava havla hrál v péčku
číšník z restaurace na smíchově hrál v péčku
barman v **** hotelu [rozuměj XXXX] hrál v péčku
kluk ze stanice anděl hrál v péčku
10 milionů vydělil pornem
porno vydělil čtyřmi
v pornu nikdo se směje, poláci nehrají

[...] Mógłbyś mi proszę podesłać też angielską wersję? Jestem ciekawy, jak ten wiersz przetłumaczyłeś na angielski ☺

Co do humoru, to myślę, że wiersz by dla większości Czechów raczej nie był zrozumiały. Dla Polaków jak najbardziej, bo opiera się na stereotypie, że co drugi Czech grał w pornolach. Ale Czesi swej wyjątkowości chyba nie są w pełni świadomi ☺ Każdy Polak też wie, co to „czeski film”, ale w czeskiej kulturze oczywiście czegoś takiego nie ma. [...]

To dobranoc, na razie ☺
Szczepan

[Mail do Štěpána Pořízka z 15 XI 2014]

Drogi Štěpán,

dzięki za list (jakbyś nie napisał, to dziś bym zadzwonił sprawdzić czy wszystko OK...!). Chyba dobra robota z przekładem. Ja nie wiem, czy on i dla Polaków byłby zrozumiały. Nie wiem, czy to powszechny stereotyp, że Czesi tak dużo pornoli robią. Tak jak jednak mówię, według mnie ten wiersz jest smutniejszą konstatacją nt. Polaków niż Czechów. *Nie grają w pornosach*, w ogóle *nie grają*, ale też się nie śmieją – nie mają dystansu (to z kolei stereotyp nt. Polaków, bo wg mnie Polacy miewają poczucie humoru, tylko „na marginesach swojej oficjalnej kultury”). Śmiech w seksie może nie jest pożądany (próbowałeś kiedyś się śmiać i dymać równocześnie?), w porno też, bo jak chcesz podniecać, być podniecanym, musisz się zaangażować, wejść w to, czyli być serio. Ale żeby w ogóle grać w pornosach trzeba mieć trochę luzu, dystansu do seksualności. A Polacy nie grają w pornosach, bo nie mają zmysłu gry, flirtu. Flirt to „granie”. Poza tym oczywiście to jest tekst o „porno w głowie”, fantazjach erotycznych. Jeśli „czeski film” znaczy *qui pro quo*, a znaczy, to przecież nie chodzi o to, że chłopak, którego widziałem na lotnisku wyglądał jak chłopak z pornosa (lub nim był), tylko że mi się może myli, bo działa fantazja erotyczna: chodzę po Pradze i wyobrażam sobie seks z różnymi Czechami. Znaczący – są dla mnie atrakcyjni.

A teraz przekład angielski:

ČESKÝ FILM

a guy who works at letiště václava havla played in a pr0n
a waiter from the restaurant in smíchov played in a pr0n
a barman from a **** [viz. XXXX] hotel played in a pr0n
a guy at the anděl metro station played in a pr0n
10 million divide by pr0n
pr0n divide by fours
in pr0n nikdo se směje, the polish don't play [...].

**DODATEK
SYRYJSKI**

NIESTETY NIE POSZŁO O CHAŁWĘ

a mogło

syria – turcja

syria – liban

syria to pierwszy kraj

syria to pierwszy kraj na ekranie telewizora

syria to pierwszy kraj na ekranie telewizora w konflikcie zbrojnym

syria to pierwszy kraj na ekranie telewizora w konflikcie zbrojnym

który widziałem przed wojną

widziałem miasto hama miejsce masakry

ćwierć wieku po masakrze

i widziałem damaszek i aleppo

trzy lata przed masakrami

jak mógłbym powołać: rozpoznaję!

(rozpoznaję ten budynek który kiedyś

był piękny a teraz leży w ruinie

ale ja wiem że to on)

ja który liznałem!

(ale: syria to pierwszy kraj na ekranie... itd.)

więc nie mam żadnej przewagi nad tymi co nie byli?

nasze obrazy zmieszały się w telewizorze i padły

jak ten zabytek?

rozpoznaję ten czołg który widziałem w centrum damaszku

rozpoznaję te śmigłowce z bazy obok mojego hotelu

rozpoznaję ten karabin z którego mierzono do mnie na granicy

na pewno w informacjach pokazywali kogoś znajomego

kogoś kto sprzedał mi chałwę

kogoś kto schronił się w turcji

która twierdzi że to ona wynalazła chałwę

ale nie dlatego reżim jej nie lubi
(turcji, nie chałwy)

niestety nie poszło o chałwę
tylko o konocentaura
(którego też widziałem setki razy
na setkach zdjęć)
a mógłby pomóc wydoroślały parys z zachodu
i wybrać wreszcie dobro nie piękno
(nie prawdę)

 haława
 słodycz
pozostaje nam na końcu języka:
chała – chwała – chałwa

*/niedrukowany,
11/12 VIII 2012/*

**ALBUM
PODRÓŻNY**



1997, Turcja,
Efez, toalety



1998, Barcelona



2000, Moskwa



2003, Barcelona

2003, Barcelona



2003, Barcelona,
Ramblas



2006, Tunezja,
Góry Atlas

2006, Tunezja, Sahara



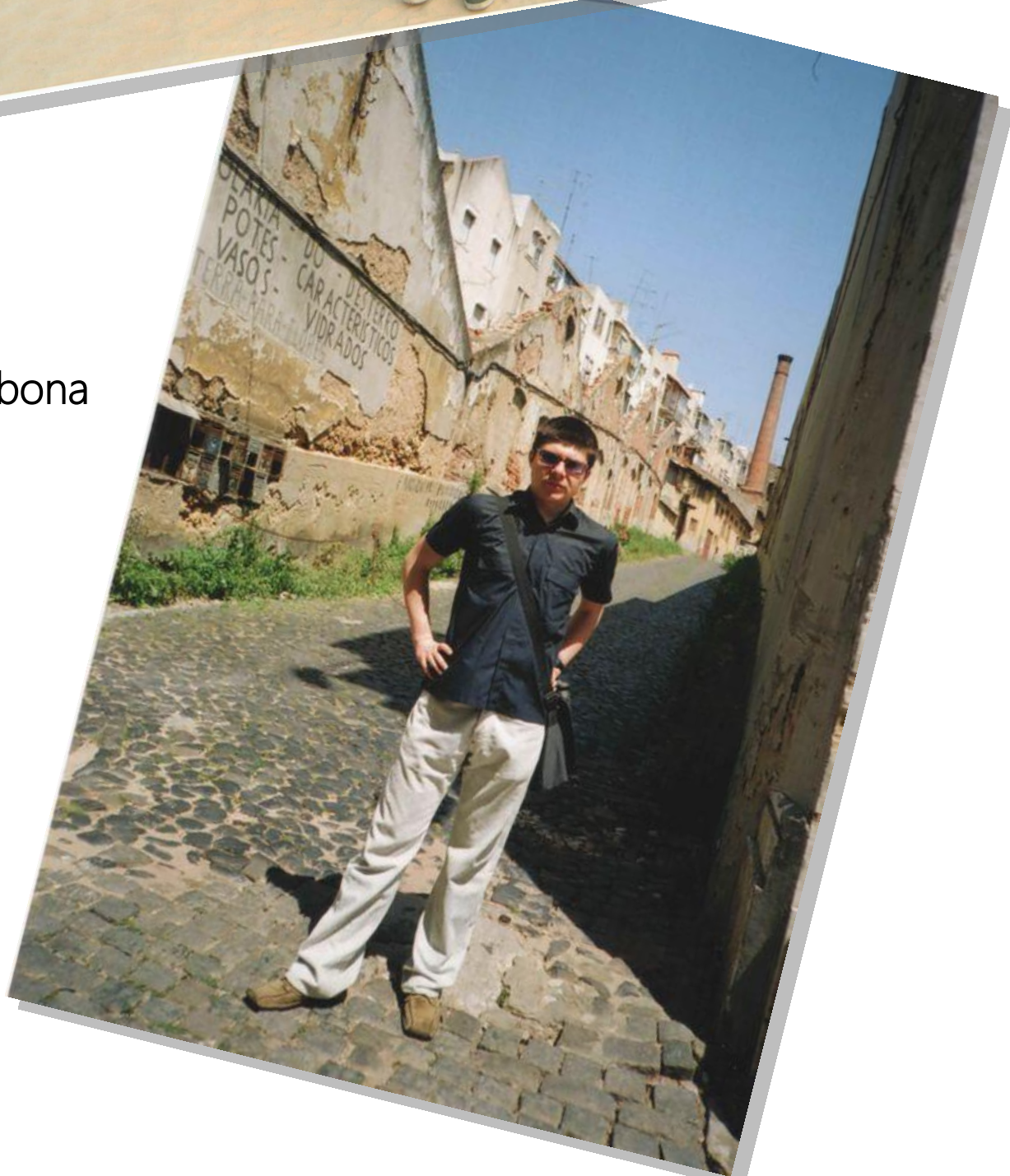
2006, Tunezja, Góry Atlas, z Mamą





2006, Tunezja,
Sahara, z Marcinem

2006, Lizbona





2008, Damaszek,
meczet



2008, Aleppo



2008, Aleppo,
szaj z miętą

2008, Hama



2009, Maroko,
Sahara



2009, Maroko,
Sahara

2008, Maroko,
Casablanca, meczet



2013, Lizbona



2013, Porto

2013, Pekin,
Świątynia Niebios



2013, Chiny,
grobowce cesarskie





2013, Chiny,
Wielki Mur

2013, Suzhou, rejs
po Wielkim Kanale



2013, Chiny,
Szanghaj



2014, Oslo

2015, Jerozolima



2015, Tel Aviv –
Jafa

Spis treści

- 7 100 % ARABICA
- 29 chiNOISEry
- 48 TURYZMATYK
- 53 PODRÓŻE POTWÓRZĘ
- 110 DODATEK SYRYJSKI
- 113 ALBUM PODRÓŻNY

W BIBLIOTECE „INTER-”
dotychczas ukazały się:

Seria poetycka

Młody Toruń poetycki. Antologia,
red. i wstęp Tomasz Dalasiński i Radosław Sobotka,
posł. Radosław Sioma, Toruń/Nowa Ruda 2013.

Piotr Sobolczyk, *100% ARABICA/chiNOISery*, Toruń 2015.

Seria poetycka JEDEN

Adam Wiedemann, *Karpie*, Toruń 2015.

Seria krytyczna

Poezja polska po roku 2000. Diagnozy-problemy-interpretacje,
red. Tomasz Dalasiński, Aleksandra Szwagrzyk i Paweł Tański,
Toruń 2015.

Seksualność w najnowszej literaturze polskiej,
red. Tomasz Dalasiński, Aleksandra Szwagrzyk i Paweł Tański,
Toruń 2015.

Nie w pierwszym szeregu. O poetach lat 90.,
red. Tomasz Cieślak i Tomasz Dalasiński, Toruń 2015..



Piotr Sobolczyk – urodzony w roku Małpy w godzinie Konia w żywiole Metalu. Arabski punkt astrologiczny popularności: 17 stopień Barana (7 IV). W adolescencji Małpa zlaźła do ludzi z drzewa *Samotulenia* i, korzystając z okazji, przeraziła ich *Opowieściami obrzydliwymi*. Zbliżając się do średniowiecza, flirtowała z alchemią, usiłując wyhodować sobie *Homunculusa*. Na *suku* w Damaszku, a może na Dżemaa al-Fina, wytargowała uśmiechniętą maskę i kolorowy haft, który wciskała umiejącym się targować jako *Dywan Pierrota*. Urodzonym w znaku Smoka, Kota, Szczura i innych, a chcącym zostać Małpą, doradza w *Obstrukcji instugi*. Wdrapując się na katedry, skacze niedościgle. I Cing dla Małpy arabsko-chińskiej: 41, *Sun*: „W pełnej artystycznego wdzięku biedzie jest jej bardziej do twarzy niż w nudnym rutyniarskim komforcie. Lubi zjeść kolację przy świecach, nawet jeśli talerz będzie pusty”.

O tomie **100% Arabica** Abu Nuwas napisał:

Krytyku, złagodniej!

Twoje oczekiwanie skruchy

Napotka rozczarowanie.

Gdyż to właśnie jest życie,

Nie pustynne namioty,

Nie wielbłądzie mleko!

O tomie **chiNOISEry** Laozi napisał:

To dao, które z ust wychodzi, przańse jest i bez smaku. A mówi dokładnie i nie dla pokłasku, dlatego to, co osiąga, nie opuszcza go. Kto nie sprzeniewierza się swemu miejscu, ten trwa. Bez wychodzenia z domu można znać świat, dlatego mędrzec zna go – bez wypraw.